



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80;
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za
wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebiera i Spół. kwart. 5 marek.

NA WERENDZIE.

(Pogawędka).



U nas, a może i nie u nas, praktykowa-
nym oddawna jest zwyczajem opiewać wdzię-
ki wiosny w samem jej zaraniu. Rok rocznie
pisma wszystkie brzmiały dźwiękami truba-
durów; każdy z nich spiewał, jak mógł i umiał,
powtarzając wciąż jedno i to samo, nie tak
może czyniąc zadość wewnętrznej potrzebie,
jak utartemu zwyczajowi. Bywają rymarze
którzy na rok cały opatrują pisma w podob-
ne płody swego ducha. *Zima:* śnieżycą, mróz,
wilki, brylanty szronu. *Wiosna:* Ciepło, zie-
lono, róże kwitną, słowik spiewa, wieszcz
wzdycha za miłością. *Lato:* zboże dojrzewa,
sierpy dzwonią, upał, że człek ledwie dysze.
Jesień: chwila rozwagi, dojrzewanie owoców,
babie lato, złota polska jesień, później chmu-
ry, deszczyk, liście z drzew opadają i okrop-
nie smutno. Mając takie wskazówki, raz
na wieczność całą, siada się do biurka, skro-
bie się w ucho, co rymowanie ułatwia — i ja-
zda!... Ale, że nic pewnego na świecie nie-
ma, nasi trubadurzy z urzędu, niemiłego w ro-
ku bieżącym rozczarowania doznali. Kapali
się w śniegu, ale w polach było czarno i go-
spodarze za łeb się brali, widząc zagony
odkryte; marzli, jak chrabąszcze zawcześ-
nie przebudzone, gdy tymczasem przez całe mie-

siące zimowe mżył drobny deszczyk ciepły
i nogi w błocie grzęzły; spiewali o czaro-
dziejstwach lasów oszronionych, gdy wszys-
kie pnie drzew smutnie wznosiły ku niebio-
som, osnutym płaczącymi chmurami, czarne
swoje ramiona. Pewien z wydawców urościł
nawet pretensję do jednego z trubadurów,
od którego nabył zapas wierszy zimowych, za
niesumienność podobną:

„I cożes pan narobił! — wołał w przystępie
rozpaczy — zapłaciłem panu z góry honora-
ryum za: „Zamiec“, „Las czarodziejski“, „Mróz
z oczyma“, balladę „Zasypani w śniegu“ i so-
net „Dwa wilki“ — a tymczasem co? Zamie-
ci niema, w lesie błoto, nikt się w śniegu nie
kopie, i wilki śladów swoich nie zostawiają
na nim.“

— Azalim ja temu winien? — wołał nie-
szczęściem swoim przygnębiony trubadur. —
Dyabli wiedzieli, że taka zima będzie! Do
Pana Boga, nie do mnie miej pan pretensję,
a tymczasem kup moje wiosenne sonety.

— Niema głupich — do widzenia!...

I oto wbrew zwyczajowi wiosna roku bie-
żącego prawie opiewaną nie była. Roztkli-
wił się wieszcz jeden i o czarodziejstwach jej
zagadał, ale nazajutrz śnieg zmroził natchnie-
nie i napisane rondo do szuflady poszły. Ztąd
nauka, że — aczkolwiek drzwi na werendę
otworzyłem i przesiaduję czasami na niej, nie
a nic o czarach wiosny wspominać nie myślę,
ażebym, w razie możebnych jej kaprysów, nie
odezwał się do mnie Gawalewicz, słowami
wyz wspomnianego wydawcy:

— I cożes ty narobił?...
Jak od pieca najlepiej zaczyna się tańczyć,
tak najskładniej jest rozmowę od pogody roz-
począć. Tymczasem wbrew dogodności owej
pomijam wiosnę, bądź co bądź zaglądającą
przez szyby i przechodząc do — pojedynków.

— A to co? — spytacie... Zali chwila róż
tak ciebie marsowo usposobiła, panie kroni-
karzu?

Wcale nie! ale w czasach ostatnich pojawi-
ła się spora wiązka artykułów, omawiających
ten przedmiot. Rzecz jednak nie została wy-
czerpana, i sądzę, że nie prędko dojdziemy do
wzajemnego porozumienia się. Zdania zcierają
się, każde *pro* i *contra* ma dużo za sobą słuszno-
ści i to takich, których nie sposób odeprzeć.
Potrzeba byłoby zmienić pojęcia o honorze, ale
to pan zbyt ambitny i niełatwo go wysadzić
z zajmowanego stanowiska. I rzeczywiście,
są śmiertelne obrazy, którym żaden sąd za-
dość uczynić nie może, do takich np. należy —
policzek!... Ale to dziwna, uderzenie w kark,
grzmotnięcie w pierś, aczkolwiek jest zniewa-
gą, nie dorównywa nigdy dotknięciu temu
głowy mojej. Co to jest i co w niej jest?

Nie będę tu rozstrzygał pytania, bo trzeba
byłoby sięgnąć do lat zamierzchłych, do chwili,
w której zaczęło się w człowieku rozwijać
poczucie godności i takie, a nie inne kształty
przybrało. Zda się jednak, że wrota do ba-
dań podobnych na zawsze przed nami zapar-
te zostały, z okrucieństw trudno pożądaną ca-
łość złożyć. Chłop pańszczyźniany bity róż-
gami krzyczał, w twarz uderzony — błądł.

Trudno! to głowa ludzka — to majestat królewski człowieka, jego berło, tron, świat cały. Nie trzęsący się mózg jest w niej tylko, lecz duch nieśmiertelny, ów prawdziwy Duch-Krół!... I oto dlaczego tej głowy tknąć nie wolno, i oto dlaczego przenoszą śmierć nad zniewagę majestatu tego.

Dobry jest artykuł, napisany w przedmiocie pojedynków, przez p. St. Barszczewskiego w „Wędrowcu“, a szczególnie jego charakterystyka męztwa. Nie jest tchórzowstwem dreszcz trwogi, który przebiega ciało żołnierza, wśród gradu kul stojącego na widocie, byleby z posterunku nie zszedł i w konopie się nie schował; nie jest odwagą czyn jakiś szalony, dajmy na to, zsuniecie się po rynnie z czwartego piętra, dokonany, ot — dla fantazyi tylko. W pierwszym wypadku widzimy prawdziwe męstwo, w drugim — bezsens. Czuć strach i zwyciężyć go wysiłkiem woli — to szczytniejsze, niż zwycięstwo bez strachu. Człowiek *nie zdolny* do grzechu nie jest radością aniołów, niebo więcej się cieszy z jednego nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewiciu świętych. P. Barszczewski pyta: „Co może być trudniejszego nad odwagę wypowiedzenia i stwierdzenia czynem przekonania swoich, pomimo przeświadczenia, że nie otrzymamy w zamian nic, prócz pogardy najbliższych i wewnętrznego zadowolenia ze spełnienia obowiązku?“ Ogólnie biorąc, nie mamy, bo nie możemy mieć nic, przeciwko tej świętej prawdzie — ale zastosowana do pojedynków, o które nam tu chodzi — bardzo wygodnym płaszczykiem być może dla rzeczywistych tchórzów. Bez wątpienia, że dał dowód dużej odwagi i męztwa „hr. Ledóchowski, oficer armii austriackiej, gdy wyzwany na pojedynek, odmówił przyjęcia wyzwania, uzasadniając odmowę tem, że wiara katolicka, której jest wyznawcą, pojedynków zabrania.“ Odmowa ta miała bardzo bolesne następstwa: został wydalony z pułku, potępił go koledzy i przyjaciele — lecz wyżej cenił *wiarę* i przekonania swe, niż opinię ogółu.

Świetny przykład Ledóchowskiego nie może być miarodajnym. Pozornie możemy nieraz wyrzec się przekonania swoich nawet, jeżeli chodzi o dobro ogólniejszego znaczenia. Taki przykład dał Kazimierz Sapieha, podpisując ustawę Sejmu czteroletniego. Inna rzecz z *wiarą* — dla niej na stos się idzie; z tem *przekonaniem* kompromisów niema. Jeżeli hr. Ledóchowski był prawdziwym katolikiem — nie mógł inaczej postąpić. Ale ilużby to naraz znalazło się katolików, gdyby zasada przekonania w kwestyi pojedynków ustaloną została!... Pierwszy lepszy tchórz do bijatyki mógłby rękę przyłożyć — a wyzwany przez obrażonego, ukryłby się zaraz pod płaszczyk religijny. Prawdziwa *wiara* nie zyskałaby nic na tem, a wzmogłaby się awanturniczność.

A więc jestem za pojedynkami?

Tak i nie!... bo powiadam otwarcie, że zasadniczo sprawy tej, tak bardzo będącej na dobie, rozwikłaćbym nie potrafił. Zapatrując się ze stanowiska religijnego, oczywiście, że pojedynkom przyklaskiwać nie można. Ale przecie i wojny są nieczem innym, jak uprawnionem morderstwem, wprowadzie tam w obronę praw swoich, słusznych czy niesłusznych, występuje ciało zbiorowe, naród lub

państwo; a z czegoż się te organizmy wytwarzają, jeśli nie z jednostek, mających czucie, rozum i wolę? Ciało zbiorowe broni praw ogółu; jednostka — praw wyłącznie swoich i to najkardynalniejszych, bo godności swojego *ja*. Lecz jeżeli w ogóle starcia wojenne nazwalismy uprawnionem morderstwem, nieczem innym nie są pojedynki, choć są potępione przez prawa państwowe. Uprawnia je tu sam człowiek, bo gdzież jest sędzia mojego honoru? gdzież jest trybunał, któryby mógł pojąć doniosłość mojej krzywdy?... Jeżeli syty głodem nie wierzy, to o ile jest trudniej sędziemu z urzędu odczuć ból obrażonej nie jego godności... Więc...

Niema rady!

Przepraszam — tego wyrazu nie wypowiedziałem. Przed trybunał opinii wszelkie krzywdy przedstawić mogę, ale policzka — nigdy!

Drugie zatem następuje — więc?

Więc zaniechanie barbarzyńskiego zwyczaju spotkań się krwawych, leży w poprawie stosunków społecznych, w ogólnem umoralnieniu i kulturze danego narodu czy ludzkości całej. Sąd honorowy może i powinien rozstrzygać niesnaski i spory wszelkie między swarzącemi się stronami, jeno — przed policzkiem; ludzie zaś, mający poczucie godności ludzkiej, do ostateczności podobnej nigdy nie powinni doprowadzać. Nie stawmy kwestyi: co czynić, by pojedynki usunąć, lecz rozważmy pytanie: co czynić, by usunąć policzkowanie? Wtedy tylko, i — naszym zdaniem — tylko wtedy, możemy wziąć się gruntownie do naprawy zła, do postawienia siebie na właściwem *ludzkim* stanowisku, do zerwania z przestarzałą tradycją „sądów Bożych“, do stania się w pełni znaczenia tego wyrazu — ludźmi!... Niech czyniący krzywdę ma to poczucie, że czyni — podłość. A któżby podłym być zechciał? Dokładne zrozumienie tego wyrazu, będzie pierwszym etapem do szerokiego gościńca, prowadzącego do świątyni godności ludzkiej. Dopóki będziemy zdolni bez wyrzutów sumienia podnosić ręce do twarzy, chociażby największego wroga naszego, dopóty żadne artykuły prawa, żadne sądy honorowe nie powstrzymają od starć krwawych; nie chodzi tu o nie nieznaczący wyraz: „krew musi popłynąć“, lecz o to, że nad życie przenosząc godność moją. Raz więc jeszcze powtarzam, nie wysilajmy rozumu nad zniesieniem pojedynków, lecz nad własnem umoralnieniem. A jak do tego dojść?... Zmianą przekonania błędnych bardzo, że — *honorowi zadość się stało*, gdy zapaśnicy lufy pistoletów opróżnią. To jest rzecz obrażonych. Pomiędzy pojedynku odbytego — społeczeństwo moralne powinno ukarać *obrażającego*. W ten sposób powoli ludzie przyzwyczajają się do trzymania rąk przy sobie. Między panem A. i B. sprawa jest skończona, lecz teraz p. A., obrażający, ma do czynienia — z ogółem. Mylne, po stokroć mylne jest mniemanie, że pojedynek zadość czyni honorowi: satysfakcyę, ja, obrażony, otrzymałem, i tylko *ja* broniłem *siebie*; lecz we mnie, znieważonym niesłusznie, doznało obelgi społeczeństwo całe, którego jestem żywym członkiem, i teraz ono powinno winowajcę pod sąd swój pociągnąć. Obawa tego sądu, świadomość, że czy kule powietrze przedziurawia, czy krew się poleje —

sprawa jeszcze rozsądzona być musi: powstrzyma awanturnicze jednostki od burd łatwych, od podnoszenia rąk, tak rozwielnionego u nas w ostatnich latach, a tem samem zmniejszy ilość wyzwań, starć pojedynkowych, jeżeli nie usunie zupełnie tego, w danej chwili koniecznego, lecz bądź co bądź, barbarzyńskiego zwyczaju. Rad byłbym szczerze, aby myśl przez nas rzucona, została wzięta pod uwagę i rozpatrzona.

Od dawien dawna wałęsa się myśl pomiędzy nami, utworzenia jakiegoś stowarzyszenia, któreby chroniło zabytki przeszłości od niszczącego wpływu czasu i barbarzyństwa rąk ludzkich. Do urzeczywistnienia tej myśli trzech rzeczy potrzeba: zezwolenia władzy, środków materyalnych i — dobrej woli. To trzecie jest najważniejsze, bo przy dobrej woli, pieniądze się znajdują, władza zaś nie mieć nie będzie przeciwko stowarzyszeniu historyczno-archeologicznemu, podtrzymującemu mury świątyni i zamków, rozwalających się w gruzy, świadczących o kulturze danego kraju i danej epoki. A czas wielki, ażeby próżne gadania, narzekania dziecinne, weszły na koniec w dziedzinę czynu. Czas niemiłosiernie pracuje, z przerażającą szybkością znikają zabytki prastare. Jakiejże troskliwej opieki i oka znawców potrzebuje choćby rynek naszego Starego-Miasta, ażeby nie pozbył się cechy swojej średniowiecznej piękności. Mularze stracają przepyszne ornamenty, stracają emblematy, świadczące o łączności takiego a takiego domu z dawnym związkiem hanzeatyckim, giną charakterystyczne odrzwia, łuki bram i klatki schodowe o baryerach z kutego żelaza. A ono to, Stare-Miasto jest dopiero prawdziwą Warszawą.

Nowa Warszawa, budująca się pod sznur, z banalnymi kamienicami swojemi, nie będzie żadnego albumu ozdobą, świadkiem chyba naszego zwyrodnienia artystycznego. Zachowajmy więc to, co nam dała bogata fantazyja przeszłości. Przejdźmy kraj cały; piętrzy się jeszcze ruinami baszt, szczątkami zamków, które zdaje się, że mówią do przechodniów: „Dogryza już nas ząb czasu, zachowajcie te resztki nasze, czyż nie jesteśmy już księgą czytelną dla was?“ I oto cegła za cegłą spada, zaciera się zgłoski, księga znika. Oto, na przykład, ruiny zamku w Solcu, w którym odbywał się sąd Św. Stanisława z królem Bolesławem Śmiałym, obecnie prawie zupełnie zrównane z ziemią; przed dwoma laty jeszcze stał mur potężny, ale i ten został doszczętnie zburzony, ze szczątków jego wzniesiono domy „pod górą.“ Kto większym jest barbarzyńcą — czas czy ludzie? Słyszę odpowiedź: „Za biedni jesteśmy, ażeby się jeszcze opiekować mieli zmurszałemi ścianami.“

Piosenka bez wartości!... Niechby każdy z panów, siadających do zielonego stolika, zrobił uczciwy obrachunek sumienia, ile w życiu swoim przegrał, — a wór pokutniczy na głowę swoją nałożyć powinien.

Nie dawno byłem świadkiem rozmowy kilku młodych panów o grze, prowadzonej przez nich w Monaco i Ostendzie. Ten i ów przegrał — no, nie wiele, dwa, trzy tysiące franków; przegrał — bo mógł!... Mógł!... ale *nie mógł* dać na cel inny. Jeden z nich wygrał 30,000 franków — i cóż? Schował na kapitał?

oddał potrzebującym? rzucił zresztą na stół gry.

Nie!...

W ciągu dni kilku stracił na hulankę z kobietami.

Wiemy, jak w Poznańskim rozpowszechniła się klęska gry hazardowej. Zawiązały się stowarzyszenia, przewodnią ich kobietą w dłonie swoje ujęły. Obecnie Towarzystwo do zwalczania gry hazardowej w Poznaniu ogłasza konkurs na utwór sceniczny, mający wykazać zdrożności karcmarstwa, zabójczy jego wpływ na byt i moralność rodziny i społeczeństwa.

Prowizoryczny to środek. W tym wypadku, jak już raz zaznaczyliśmy, żony, matki, siostry i kochanki — one tylko i jeszcze raz one mogą zło wyrwać z korzeniem, stanowiąc wpływ wywrzeć na zepsutą naturę mężczyzn. Im wierzymy, na nie patrzymy, bo życie wszelkie od nich pochodzi.

Oto warunki wyżej wspomnianego konkursu:

1) Utwór winien składać się, o ile możliwości, z trzech aktów, aby nie było potrzeby wypełniania wieczoru dodatkami, mogącymi wrażenie sztuki osłabić;

2) Akcja utworu winna być współczesną i umiejscowioną i nie stawiać trudności co do scenery i ukostumowania;

3) Liczba osób działających ma — o ile możliwości — nie przekraczać 10;

4) Utwór ma mieć cechę dramatyczną, a nie być przytem pozbawiony pierwiastku satyryczno-komicznego.

Uwzględniane będą jedynie utwory, posiadające wartość literacką.

Oceny nadesłanych na konkurs dzieł podjęli się pp.: Maryan Gawalewicz, Józef Kościelski i Lucyan Rydel.

Jako pierwszą nagrodę, wyznacza Towarzystwo ze względu na nader skromne swe zasoby materyalne, 300 marek, druga nagroda wynosi 150 marek, trzecią nagrodę stanowiąc będzie list uznania.

Prace nagrodzone stają się własnością Towarzystwa. Względem prac nie przedstawionych do nagrody, rezerwuje sobie Towarzystwo prawo pierwszeństwa w nabyciu. Prace winny być nadsyłane aż do dnia 1-go listopada r. b., z uwzględnieniem zwykłej formy konkursowej na ręce prezesa, dra Kapuścińskiego (Poznań, ulica Teatralna nr 6).

Do różnych czasopism przybywa dwutygodnik p. t.: „Dziwy Życia.“ Redaktorem i wydawcą jest p. Witold Chłopecki. Zadaniem nowego pisma będzie objaśnianie ciemnej publiczności ze zjawiskami telepatyi, jasnowidzenia, somnambulizmu, medyumizmu i t. p. Może nam się jaśniej teraz w głowach robi i dowiemy się o tem, o czem filozofom się nie śniło.

Musimy jeszcze słów parę powiedzieć o projektowanym przez poetów wydawnictwie książki jubileuszowej, t. zw. „Księgi poetów“, poświęconej Maryi Konopnickiej. Zysk czysty ma być wręczony jubilatee. Przed paru tygodniami grono poetów, zamieszkałych w Warszawie, chcąc wydawnictwo naprzód posunąć, postanowiło z grona swojego wybrać w liczbie siedmiu komitet, któryby zajął się rozpatrzeniem przysyłanych utworów, rozsegregowaniem ich i uszeregowaniem właściwym.

Myśl poetów poparli bezinteresownie i artyści-malarze. Książka ma się ukazać w październiku r. b. Wydanie jej ma być ostatnim wyrazem sztuki wydawniczej, na co się złożą druk, papier i stosowne ornamenta, nie licząc, oczywiście, ilustracyi, odbitych na kartonach osobnych. Wydawnictwem książki zajmie się p. Guranowski, wydawca i właściciel „Wędrowca.“ Komitet redakcyjny składają: Deotyma, Pług, Kaszewski, Święcicki, Faleński, Or—Ot i — niżej podpisany.

Kazimierz Gliński.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Nie mogąc jechać do Paryża, ani do Wiednia, Mewa wybrała się z ojcem do Warszawy, chcąc spróbować, czy chociaż pomniejszych akcesoryów do wyprawy nie uda się dostać w tej dziurze. Ta dziura dostarczała wprawdzie tualet w niczem się nie różniących od paryżskich modeli, ale te nie miałyby etykietek zagranicznej firmy, a przytem byłyby mniej drogie, co znaczy mniej warte. Przedmioty do powszedniego użycia, o których pochodzenie panie jedna drugiej nie pytają, mogły w ostateczności być robionymi w Warszawie, ale żeby to miało gust i szyk, trzeba było dopilnować osobiście każdego ściegu, i dlatego nieobecność Mewy w domu przedłużyła się parę tygodni.

Przez ten przeciąg czasu Zygmunt nie przestał bywać w Obrywinie. Zaglądał czasem do Dziecina, a w Zielonej Zagrodzie bywał regularnie po każdej bytności Jura u jego dziadków. Jur zaś często odwiedzał państwa Nabrzeskich, bo staruszkowie serdecznie go zapraszali, a on czuł się między nimi, jakby w starym gnieździe rodzinnym.

Zygmunt był już z Jurem na stopie zażyłości, ale przede wszystkim towarzystwo Malwy stało się dla niego niemal konieczną potrzebą. Ona także przywykła gawędzić z nim otwarcie i poufnie, a jednomyślność przekonań, pojęć i poglądów łączyła ich ściślej, niż wiedzieli sami. Malwa czuła się z nim tem swobodniejszą, że był narzeczonym, więc nie kępowała jej żadna myśl uboczna, utrudniająca zwyczajnie obejście młodej panny z młodym człowiekiem. A Zygmunt nazywał ją swoim starym przyjacielem, chwilami jednak przechodziło mu przez myśl, że lepiejby było, aby ten stary przyjaciel nie miał tak bujnego warkocza, tak świeżych ust i tak kształtnej kibici. Ale zawsze potem mówił sobie, że byłoby śmiesznym skrupułem unikać towarzystwa zacnej i rozumnej kobiety, dlatego, że się jest narzeczonym, — i że zresztą Malwa jest z rzędu tych kobiet, które częściej wzbudzają przyjaźń i szacunek, niż jakieś żywsze uczucie.

I rzeczywiście Malwa nie należała do typu panien, które się większości mężczyzn podobają. Nie miała tej miękkości, która ich pociąga, jako cecha istoty biernej, nadającej się do ślepego poddaństwa, nie ujmowała zręczną zalotnością, nie bawiła lekkim dowcipem, słowem, nie było w niej tego, co mężczyźni kobiecością przewali. Nawet ten rodzaj próżności specjalnie kobiecej, pospolicie pretensyą zwany, był jej o tyle obcy, że o powierzchowność swą dbała, nie aby się podobać, ale dla siebie samej, przez estetyczne poczucie i zamiłowanie porządku. To też bez względu na to, czy mogła być widziana — wyglądała czysto i świeżo o każdej porze, przy każdym zajęciu, a prostota jej ubioru nie nadawała jej wcale wyglądu prostaczego.

Twarz jej wiatr i słońce powlokły lekką pożyłą, ale nie było na niej tych obrzmień czerwonych, tych chropowatych liszaj, tych plam brunatnych, którei praca na powietrzu szpeci i brudzi oblicza nieochędożnych kobiet wiejskich. Od słonecznego skwaru osłaniała się sztywnym muslinem albo uplecionym w domu kapeluszem, od spalenizny myła się na noc poziomkami lub świeżym ogórkiem, a na spękaniu lub opierzchnięciu pracowitych hrządek młode masło skuteczniej, niż gold-kream, zaradzało. Włosy jej gorącym żelazem nie przypiekane, a często myte czystą wodą, jak każda rzecz, która się brudzi, miały bujność zdrowej rośliny i mogły wzbudzić zazdrość najkunsztowniej utrefionej elegantki, kiedy osychały po kąpieli puszczone luźno po kolana, miękkie, faliste i połyskliwe. Prostota jej stroju korzystnie uwydatniała harmonijną proporcję kształtów. Wiejski gorsecik, zastępujący barbarzyński pancerz ze stali i fiszbinu, nie dawał jej sztucznego wcięcia żurnalowej ryciny, — na którego widok wzdrygnąłby się Praksyteles, — lecz pozostawiał nie zepsutą czystość linii i naturalną giętkość ruchów, a cała jej postać była tak zręczna, tężnęła takim bujnym rozkwitem młodości, że patrząc na nią, wnet przychodziły na myśl określenia znawcy Wieloleńskiego, który ją nazywał polną różą i leśną jagodą.

Pewnej niedzieli przed wieczorem Zygmunt stał oparty o wrota Zielonej Zagrody, trzymając cugle swojego wierzchowca, a Malwa siedząc na przyźbie przed chatą, oczyszczała jarzyny do krupniku na wieczernię. Na kolana białym fartuchem okryte sypała się z pod migającego w ręku ostrza kędzierzawa nać pietruszki i strzępiaste wiechy marchwi, a oskrobane młode kartofle, jak galki ze słoniowej kości padały raz po raz w stojące na ziemi naczynie. Różowe blaski zachodu i zielony cień topoli igrały dwubarwnie na białej ścianie i płowej strzesze, a kształtna postać dziewczyny na tem tle kolorowem wyglądała, jak malowanie. U nóg jej słały się grzędy ogródka, gdzie wiotki groszek płał się z aksamitną nastureją, a żółte i purpurowe malwy bujały nad gąszczem barwinku i rezedy, nad głową jej gałęzie lipowe spletały się w wieńiec, pachnący słodczą miodową.

Zygmunt patrzył przez chwilę w milczeniu na pochyloną ciemnożółtą głowę, na świeżą krasę rumieńca, na usta, jak dojrzała malina,

rozchylające się na białych, jak młode orzechy ząbkach,— i rzekł nagle, jakby do siebie:

— Ciekawa rzecz jednakże, jak długo pani będzie to robiła?

— Długo? no proszę! — odpowiedziała, — a ja myślałam, że robota pali mi się w rękę.

— Ależ ja nie mówię o tej pietruszce, którą pani gilotynuje.

— Więc o czym?

— O tem, że pani przecież nie będzie zawsze gospodarowała w Zielonej Zagrodzie.

— To dobre! a cóż się ze mną stanie?

— Pójdzie pani za męża — rzecz prosta. Malwa roześmiała się.

— A to jakim sposobem? — zawołała.

— Bardzo zwyczajnym: zjawi się jaki śmiertelnik, który zauważy, że pani bardzo ładnie kartofle skrobie, i poprosi panią, aby raczyła rozgospodarować się u jego ogniska.

— To będzie chyba syn sołtysa, bo nawet pisarz gminny nie konkurowałby o osobę, chodzącą do kościoła bez kapelusza!

Śmiała się serdecznie, a on rzekł seryo:

— Czyż pani myśli, że w sferze inteligentnej niema wcale ludzi bez uprzedzeń tego rodzaju?

— Jak dotąd — znam takich tylko dwóch: Jura i pana.

— A gdyby znalazł się trzeci — to co?

— Doprawdy nie wiem! nie zastanawiałam się nad tem.

— To niech się pani teraz zastanowi.

— Czyż ja wiem... Zapewne, że gdyby był uczciwy, inteligentny i przywiązany, tobym się także mogła przywiązać.

— A dotąd pani nigdy nie kochała?

Malwa roześmiała się znowu.

— A cóż to za indagacja! — rzekła wesoło.

Ale on nie podzielał jej dobrego humoru, i rzekł chmurnie:

— Bo moja narzeczona przyznała mi się,

że miała jeszcze przede mną kilka pensyonarskich ideałów.

— Bywają rozmaite usposobienia...

— A pani nie była nigdy podobnie usposobiona, prawda?

— Może jestem mniej wrażliwą — odparła wymijająco, — a może nie mam wcale zdolności kochania.

— A tak! to jest bardzo prawdopodobne, że taka bujna roślina nie ma wcale zdolności zakwitnięcia! — rzekł żywo, i uśmiech rozjaśnił jego twarz posępną.

— Ale starających się pani miała? — spytał znowu.

— Ma się rozumieć; jak każda posażna panna.

— I żadnego pani nie wyróżniła?

— Nie. Widocznie miałam dobry instynkt, bo później, kiedy spotykałam którego z nich w domach, gdzie dawałam lekcje muzyki, to kłaniał mi się z daleka i czempredzej znikał.

Mówiła to swobodnie, bez śladu goryczy, a on popatrzył na nią długą chwilę — i rzekł:

— Jaka pani we wszystkim odmienna...

— Od kogo? — spytała zdziwiona.

— Od Mewy.

— Po co robić porównania? — rzekła żywo. — Każda z nas ma właściwe sobie cechy, i co w jednej byłoby wadą, to w drugiej może być wdziękiem.

Zygmunt zmarszczył brwi, i rzekł surowo:

— Nie mogę tak rozumować, kiedy pomyśle, że próżna, zalotna i lekkomyślna dziewczyna ma być współniczką całej mojej przyszłości.

Malwa spuściła głowę trochę zakłopotana, i rzekła, strząsając obierzyny z fartuszka:

— Ona jest jeszcze taka młoda... może pan na nią wpłynie swoją miłością.

Twarc Zygmunta bardziej sponępniała — zamilkł na chwilę — a potem rzekł powoli, dobitnym, ostrym głosem:

— Ja już nie kocham Mewy.

Malwa podniosła nagle głowę — i patrzyła na niego zadziwionym, prawie przerażonym wzrokiem.

— Nie kocham jej! — powtórzył z mocą, i mówił dalej szybko, wyraźnie, śmiało:

— Póki wydawała mi się inną, niż jest, — kochałem ją ślepo w mojej omyłce. Ale w miarę, jak ona — pewna swego — coraz mniej się wobec mnie krępowała, ja coraz bardziej przekonywałem się, że złudzenie mojej namiętności dłużej trwać nie może, i z każdym dniem stawałem się dla niej obojętniejszym. A kiedy jednocześnie poznawałem bliżej kobietę, mającą wszystko, czego jej braknie, kiedy porównywanie tych dwóch coraz bardziej podnosiło tę — a obniżało tamtą — przyszła nakońiec chwila, w której z nagłym zdziwieniem zapytałem sam siebie:

„Dlaczego właściwie ja mam się z nią żenić?...”

Malwa podniosła się i stała wyprostowana, nie mogąc zrazu znaleźć słowa odpowiedzi. Nareszcie zawołała, jakby z wysiłkiem:

— Dlatego, że pan jest uczciwym człowiekiem, który jej to obiecał!

— A gdybym jej był obiecał, że się zarznię albo powieszę?

— Tego nie godziłoby się dotrzymać, — a tanto godzi się — i trzeba!

— Trzeba?... — zawołał gwałtownie, — trzeba żenić się z jedną, kiedy się kocha drugą?...

Malwa oblała się purpurową łuną i rżęsa mi oczy zakryła, ale rzekła stanowczo:

— Trzeba dotrzymać danego narzeczonej słowa, skoro z jej strony nie zaszedł żaden powód dostatecznie ważny, aby je wolno było cofnąć.

— A co w takim razie zrobić ze swoim uczuciem?... — zapytał głosem od wzruszenia stłumionym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DEOTYMA.

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

«Chciałabym spytać..... Niech Ojcuś odgadnie.....»

«Czemu to Cesarz nie robi, jak oni?»

«Czemu swojego Wiedenka nie broni?»

«Tak od nas uciec, to jakoś nieładnie.

«On zdrów, a wszyscy za niego tu giną.»

— Kommendant krzyknął: — «Milcz, głupia dziewczyno!»

Ochłódł, i dodał: — «Widzisz, moje dziecko,

«Choć my zginiemy, i takich miliony,

«To świat nie zginie. Cezar namaszczony,

«Jest jeden tylko na świecie!»

— Tu, zadzwoniono. Zrywają się damy.

Hrabina wzdycha: — «Znów jakaś wizyta!

«Trzeba nam odejść... Tak mało cię mamy!»

Pierzchły. — Kommendant z Capliensem się wita,

Za stołem sadza, naléwa mu wina.

Przez chwilę milczą. Gość pierwszy zaczyna:

«Ha no, winszować! Jeszcze się udało —

«Choć z tyłu szturmów ten był najstraszliwszy.

«Jednak ja pytam, na dni obliczywszy,

«Czy przetrzymamy rzecz całą?»

— «Ach!» — mówi głosem drgającym gospodarz.

«Jaki ty szczęśliw, Panie Prezydencie,

«Żeś jest sam jeden! W ostatnim zamęcie,

«Pójdiesz w bój, zginiesz, i wzór piękny podasz.

«Lecz mieć rodzinę, to kula u nogi!

«Ta zająca żona.... Te córki niebogi....

«Na co im przyjdzie? Już ztąd nie wyjadą!

«A jeśli wtargnie ta tłuszcza bezbożna,

«Co robić? Otruć? Przebić je tą szpadą?

«Dalibóg, zwarjować można.»

Prezydent pyta: «Dla czegoż te damy,

«Nie wyjechały z innemi, od razu?»

— «A, czemu? Z mego własnego rozkazu.

«Gdy cesarz ruszał, to u Miejskiej Bramy,

»Był taki rwetes i tłok aż do nocy,

«Że zatamował bieg jego karocy.

«Wtedy Pan do mnie rzekł zniecierpliwiony:

«— *Ja* muszę jechać, ale wszyscy owi,

«Po cóż uwożą dzieciarnię i żony?

«Zły dają przykład ludowi.

«Wtedy ja rzekłem: — Co mój dom, o Panie,

«To nie wyjedzie. — A mówiłem śmiało,

«Bo na mnie spojrzal... jak? Niepokonanie.

«Ach, pod tém okiem, to mi się zdawało,

«Że już nic złego stać się nam nie może,

«I że świat cały u nóg jego złoży!

«A dziś?...» — Gość słucha i wciąż kiwa głową,

Lecz z jego twarzy skośnie się uśmiecha,

Zły jakiś tryumf, czy mściwa uciecha.

Z ust pada cedzone słowo:

— «No, cóż znów? Przecie jest złemu granica —

«Król Polski mądry — odsiecz niedaleka....»

— «Mądry bo mądry.» — Starhemberg odrzeka.

«Oto dziś, ustnie przez Michalovitza,

«Przysłał mi układ, gdzie tak robić każe:

— «W nocy, to patrzcie na góry; puszkarze,

«Spalą tam race. W biały dzień, uważcie,

«Ile też wasze Dunajskie flisaki,

«Zatkną gałganków, czyli flag na maszcie?

«Rachunek zaś ma być taki:

«Pięć rac, czy bander, to będzie znak niemy,

«Że przepawiłem za most wojsko moje. —

«Cztery, to znaczy: Już w góry idziemy! —

»A trzy: Przyszedłem! Na górach już stoję. —

«Mnie też nauczył, iloma sygnały

«Mam odpowiadać, i jest układ cały.

«Takie to proste, jasne, jak na dłoni,

«A tyle pociech nam da! O mój Boże,

«Czy ja doczekam tych znaków? Któs dzwoni....»

«Co to takiego być może?»

Słucha. Za drzwiami ruch szerzy się, wzrasta.

Wpadł, popłuszając, hukając, jak dziecko,

Wels, — ów (patrz wyżej, Strofa dziewiętnasta),

Wódz nad młodzieżą Uniwersytecką,

I Starhemberga wielki ulubieniec.

Dziwną miał nad nim władzę ten szaleniec.

Graf, jego zdanie brał często za swoje,

I już wiadano, że nie bez ochoty,

Odda mu rękę swęj córki Doroty,

Bo się kochało tych dwoje.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czesław Jankowski.

Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Ciąg dalszy).

VII.

N o r a. — Helena Alving.
1879. 1881.

«Weh dem, der zu der Wahrheit
geht durch Schuld...»

Schiller.

«Dum petit infirmis nimium subli-
mia pennis Icarus...»

Ovidius.

Wobec praw, przyznanych kobiecie przez Ibsena, błedną najskrajniejsze domagania się i wnioski zarówno rewolucyjne, jak reformatorskie wszystkich rzeczników i rzecznicek równouprawnienia, których głosu wiek dziewiętnasty wysłuchał. Kobieta — powiada Ibsen — nie ma żadnych obowiązków, a przy-

• sługują jej wszystkie prawa. Trudno pójść — dalej.

Można już tylko tezę — rozwijać. Tak też czyni Ibsen w każdym niemal utworze swoim. Więc: kobiety są podporami społeczeństwa; więc: kobiecie wolno porzucić męża, skoro tylko swobody zapragnie, jeśli sądzi, iż skarżyć się na niego ma rację, jeśli inny jaki mężczyzna lepiej jej się spodoba; mężczyzna, który wobec niewiasty odegra biblijnego Józefa, nie tylko popełnia śmieszność, ale właściwość, lecz wprost — występki; kobieta jest zającą istotą, mądrą, silną i odważną, podczas gdy mężczyzna to nieodmiennie głupiec lub tchórz; w walce zwycięża zawsze, zwyciężyć musi kobieta; kobiecie wolno żyć dla

siebie samej; porzucić może nawet rodzone dzieci, skoro osobistego szczęścia lub zadowolenia wypadnie jej szukać zdala od nich... Buntowniczy duch ponurego anarchisty, niezadowolonego ze świata, plującego na cały porządek społeczny, za potężne narzędzie, przeznaczone do burzenia owego społecznego porządku, obrał sobie — kobietę. Ona dopełni dzieła. W imię czolobitnej czci dla indywidualności, dla indywidualnego sumienia, w walce z pisanymi prawami, nie przewidującymi „wypadków nadzwyczajnych.“

Zaiste: wspaniała rola — z jednej strony bożyszczą, z drugiej bohaterki, istoty uprzywilejowanej, postawionej — o rozkoszy! — już nie na jednej linii z mężczyzną, lecz hen! wyso-

ko nad nim! W samo-bałowchwalczej ekstazie przyklekały kobiety przed dramataми Ibsena i samym wielkim zachwytem nad niemi napełniły świat. Bo też niczem średniowieczni trubadurowie, niczem liczni poeci, niczem George Sand'y i amerykańskie feministki wobec tak hojnego pana, prześcigającego najśmielsze marzenia i ambicje niewieście.

Z Ibsenowskich rewolucjonistek weźmy przed oczy dwie tylko. Nie studium piszemy o Ibsenie lub ibsenizmie; wyręczały nas setki piór, maczanych w najwonnieszych ambrach i zółciach najzjadliwszych. Najlepszym zresztą źródłem wiedzy wszelkiej i sądu — same Ibsena dzieła, którym popularności nikt nie odmówi. Z tłumu nagromadzonych tam postaci, wyłączmy oto tylko lalkę-filozofkę, Norę. Tylko przejdzie мимо nas, rozegra scenę swoją z mężem z trzeciego aktu i — zadanie jej spełnione. Przypomniała się pamięci, uderzyła wyobraźnię, podbudziła, rzuciła dalej myśl tych, co oto z nami przywędrowali aż tu po galerii niewieściej wieku.

NORA. ...Muszę wykształcić sama siebie. Ty mi pomocnym w tem być nie możesz. Dlatego też opuszczam cię.

HELMER (*zrywając się z miejsca*). Co powieśdasz?!

NORA. Sama tylko na siebie liczyć muszę. Jeśli mam zrozumieć siebie samą i otoczenie moje. Dlatego też dłużej zostać przy tobie nie mogę.

HELMER. Dom, męża, dzieci porzucić! Czyś ty nie myślała, co o tem ludzie powiedzą?

NORA. Nic mi to nie obchodzi. Wiem tylko, że to dla mnie konieczność.

HELMER. Oburzające! A najświętsze obowiązki twoje?

NORA. Jakież to moje najświętsze obowiązki?

HELMER. Trzebaż ci je wymieniać! Obowiązki względem męża i dzieci...

NORA. Mam obowiązki inne, również święte.

HELMER. Mieć nie możesz!... Jakież to?

NORA. Obowiązki względem siebie samej.

HELMER. Przedewszystkiem jesteś żoną i matką.

NORA. Nie zdaje mi się. Teraz wiem przedewszystkiem, że jestem istotą ludzką — podobnie jak ty sam — lub też przynajmniej spróbuję zostać istotą ludzką. Wiem, że twego zdania będzie większość ludzi; czytałam nawet coś o tem po książkach. Ale nie wystarcza mi to, co mówi większość ludzi i co w książkach stoi. Muszę sama przemyśleć wiele rzeczy, aby mieć o nich dokładne wyobrażenie.

HELMER. Jakto? nie masz dokładnego wyobrażenia o stanowisku twojem w rodzinie? Czyż nie masz w sprawach tych niezawodnego przewodnika? Czyż nie masz — religii?

NORA. Ach, Robercie! — Ja nie wiem, co to religia.

HELMER. Co mówisz!

NORA. Wiem tylko to, co mówił pastor Jacobi, gdy była konfirmowaną. On objaśniał: religia jest to a to. Gdy wyłamie się ze wszystkiego, co mnie tu otacza, zastanowię się też i nad tą kwestyą. Zobacze, czy prawdą jest, co mówił pastor Jacobi, a raczej czy prawda owa da się przystosować — do mnie samej.

HELMER. Niebawem słowa w ustach młodej kobiety! Jeśli jednak religia nie jest dla

ciebie drogowskazem, pozwól, niech przemówię do twego sumienia. Masz przecież poczucie moralności?... lub też, powiedz mi, może i tego ci braknie?

NORA. Odpowiedzi ci żadnej nie dam, Robercie. Tak najlepiej. Zdania — nie mam. Niejasnemi są dla mnie i te rzeczy. Wiem tylko, że i w tej kwestyi mam inne całkiem, niż ty, zdanie. Dowiedziałam się właśnie, że prawa kodeksu inne są, niż je sobie wyobrażałam; ale aby prawa miały być dobrymi, nie mieści mi się w głowie...

HELMER. Nie rozumiesz społeczeństwa, wśród którego żyjesz.

NORA. Niezawodnie. Ale oto chcę poznać to społeczeństwo. Muszę przekonać się, kto z nas ma słuszość, społeczeństwo, czyli też — ja.

Ecce mulier! Mąż jej nie rozumie. On jest przedstawicielem formalistycznej uczciwości, faryzeuszostwa i poszanowania dla układów społecznych. Ona przeczuwa istnienie jakiejś innej moralności i religii, szerszych, szerszych, rozkrepowanych z sieci rytuałów, rozsądniejszych, pobłażliwszych. I — w samotności, rozmyślając nad życiem i duchem ludzkim, będzie zapoznawała się z tą moralnością i religią, zaś przyjmie je, jeżeli odnośnie do niej samej okażą się sprawiedliwymi i prawdziwymi. Cel wzniosły, ani słowa. Dążenie wzwyż ku prawdzie absolutnej i doskonaleniu się duchowemu. Bezinteresowność zupełna. Nastroj ducha podniosły. Prawie heroizm w zajęciu tak wyzywającej postawy — ba! w zdecydowaniu się na akcję czynną — wobec niezadawalającego jednostkę całego ustroju społecznego.

Ale — pomijając, że Nora z pierwszego i drugiego aktu nie ma zgola w sobie materiału na Tytanke, że to najbliższa przecie krewna Dickensowskiej „żony-dziecka,“ (Dora z „Dawida Copperfielda“), że przecie sam Ibsen utwór swój zatytułował *Et Dukkeheim* (Dom lalki), że niema sposobu odczuć przyczyn nagłego Nory zbuntowania się i rozżalenia — co za wybujałość indywidualizmu! Ja... dla mnie... w stosunku do mnie... Reszta piedestał tylko dla osobistego zadowolenia i szczęścia.

Wielki Ibsen ogromny dał rozmach duchowi Nory, własnych jej skrzydeł użyczywszy. I — wielki Ibsen, w zapamiętaniu się, popełnił wielką niezręczność. Kilku niebaczniemi pociągnięciami pióra odsłonił nam — podszewkę owych górnołotnych ducha Nory szybowań.

HELMER. Z pełną świadomością opuszczasz więc męża i dzieci?

NORA. Tak.

HELMER. Tedy jedno być może tylko wytłómaczenie tego kroku.

NORA. Jakież?

HELMER. Nie kochasz mnie już.

NORA. Tak, to właśnie przyczyna.

HELMER. Nora!... I ty to mówisz!

NORA. Robercie, mnie samej przykro. Boś ty był zawsze przyjaznym dla mnie. Ale tego nie odmienić. Nie kocham cię już.

Trzebaż było to od razu powiedzieć!

Gdy obie strony kochać przestają, a na przyjacielskiej stopie czują, iż żyć im ze sobą ciężko będzie, gdy nawet jedna tylko strona kochać przestaje a cierpieć od wspólnego pożycia zaczyna — niech się rozchodzą, rozstają, bo nie sądzonem jest człowiekowi dobrowol-

nie piekło przebywać tu na ziemi, a lepiej, aby rodzina nie istniała wcale, niż żeby miała być piekłem. Mają oboje dość hartu i duchowego w sobie zasobu, aby — w imię istnienia rodziny, nie dopuścić do wybuchnięcia piekła pod wspólną strzechą — szczęście wielkie, lub też ich zasługa. Ale jeśli nie potrafią zażegnać burzy — niech się rozstają, tylko bez wielkich, jak Nora, frazesów. Nie kocha męża; czuje, iż dalsze z nim pożycie jemu uczucia nie da, jej da niedolę, a rodzinę w piekło może zamienić. Tedy odchodzi — bynajmniej nie aby szukać wiatru w polu, jakichś przystosowanych do jej indywidualności, doskonałych religii i etyki, jeno po prostu dla tego, iż nadzieje, pokładane w szczęściu rodzinnem, ją zawiodły i że z drugiej strony ona sama nie czuje się na siłach szczęścia rodzinie tej przysporzyć.

Mimowoli budzi się ciekawość: jakie też dalsze były losy Nory? Czy znalazła na szerokim świecie lub w samotni swej ową przeczuwaną religię i etykę? Czy przeniknęła sens życia oraz istotę urządzeń społecznych? Czy może „stał się cud“ i zmieniła się ona tak dalece, oraz zmienił się tak dalece Helmer, iż po latach, połączywszy się znowu, utworzyć byli w stanie małżeństwo, jakim być powinno? Ibsen mileczy. Nora powiada, odchodząc, iż w cuda nie wierzy. I kurtyna zapada.

Ale przypuszczać wolno, iż tytaniczne rzucanie się Nory — „nadczołowieka“ po szczęście indywidualne w świecie wyrozumowanych doktryn doskonałych nie było przecie szaleństwem! Czyżby Ibsen dźwigać miał kobiety swoje na tak wysokie szczudła, aby padać miały? Czyżby rzucał je na wyprawę po niedające się osiągnąć i zdobyć złote runo? Podżęgać, zachęcać, apoteozować heroizm, rozbudzać niezadowolenie, buntować — a potem co? wydać nieszczęsne istoty na łup rozczarowań i wyczerpań się sił zmarnowanych? Być nie może! Czekajmy cierpliwie, Ibsen pokaże nam kobietę-nadczołowieka nie już w porywie do walki, nie wśród walki, ale wśród blasku osiągniętego tryumfu.

I doczekaliśmy. W dziesięć lat po ukazaniu się „Nory“ dał Ibsen światu w roku zaprzyszłym 1900 dzieło sceniczne, zatytułowane „Gdy my z martwych powstaniemy,“ zaznaczając sam w przedmowie, iż *epilog* to szeregu dramatów, niejako ostatnie słowo, klucz też i poglądów, rozwijanych w poprzednich utworach...

Wpierw jednak, jeszcze jedną weźmy przed siebie postać niewieścią.

Helena Alving.

Wyszła za mąż za człowieka, który, okazało się rychło, stekiem jest najhaniańszych skłonności i nałogów. Życie wśród głośnych skandalów i brudów stało się dla niej niemożliwem; uciekła — aby rzucić się w ramiona sympatycznego dla niej i miłego pastora Mandersa. Był to człowiek zasad purytańskich. Z serdecznością największą, ale i stanowczością nieugiętą powiedział jej: „Droga pani, wracaj do męża, bo tak każą ci prawa Boskie i ludzkie!“ Tedy wróciła z mocnem postanowieniem znosić dolę swą mężnie i z poddaniem się woli Bożej. Przyszło na świat dziecko, syn. Tedy Helena Alving, aby ukryć przed światem, czem jest ojciec jej dzie-

cka, aby dziecku temu dobre zachować imię, cuda czyni poświęcenia, zaparcia się siebie, wytrzymałości. Nikt nie przeczuwa, jakie miewa przejścia z nałogowym pijakiem, rozpustnym psychopatą. I pan Alving, umierając, zostawia po sobie opinię człowieka, który pod dobroczynnym wpływem żony odrodził się w ostatnich latach życia. Jak się rzecz ma, wie tylko — wdowa po nim. To też drży, aby złe skłonności ojca nie odrodziły się atawistycznie w młodym Oswaldzie! Ile znów cierpi od tej trwogi nieustannej! Jak cała dusza jej w tym synu!...

I oto zwala się na tę heroiczną kobietę cała niesprawiedliwa okropność niedoli ludzkiej. Syn jej odziedziczył po ojcu nie tylko moralną zgniliznę, ale i cielesne śmierci przedwczesnej a ohydnej zarodki. Nagle, staje przed nią nie plon jej poświęcań się i cierpień, ale — upiór Alvinga. Pod ciosem tym rozpada się w gruzy cały gmach jej wiary i nadziei, jej zasad i sił moralnych. Nie, tego już nadto! Ssensu i wartości nie mają żadnej ofiary, cierpienia, przemagania siebie... Na tym padole warto jedynie i li tylko — używać życia! Sens i wartość ma tylko żądza życia — *la joie de vivre!*

Spokojny w objawach, zacięty, przerażająco bezwzględny bunt przeciwko wszystkiemu, co istnieje na ziemi i niebie, podnosi się z duszy tej kobiety i rozściela się, jak dym, przenikający wszystko, po kartach „Upiorów.“ Aż wreszcie, osłupieni, z zapartym w piersiach oddechem, świadkami jesteśmy ostatnich drgnień konającej w Helenie Alving istoty ludzkiej. Syn jej, nieuleczalnie, śmiertelnie chory, rwie się resztkami władz — używać życia. Chce... chce czego, miły Boże?!... sięga po Reginę, — siostrę swoją rodzoną. A pani Alving, — pani Alving zakrzepła już w nieczułym na nic nihilizmie moralnym, — popycha Reginę w ramiona Oswalda. W ślad za tem atak, który na łożo śmiertelne ma położyć, kto wie na jak długie męki, ukochanego jej syna. Prosił o jedno: skrócić mu męczarnię — zabójczą dawką morfiny! Tę ostatnią łaskę wyświadczy mu matka. Podczas gdy Oswald pasuje się z niemocą, pani Alving, trzymając w ręku truciznę patrzy na niego w osłupieniu i niemej boleści...

Dosyć. Nie wpatrujmy się w zapadniętą kurtynę. Tam, za nią dzieją się rzeczy, których domówić nie śmiały usta nawet Ibsena.

Więc oto bunt przeciwko wszystkiemu, co na ziemi i w niebie, a celem owe, o które woła umierający Oswald: „Słońce!“ — to znaczy: ideał pogański nadczołowieczego używania życia i napawanie owem od wszelkich praw życiem samolubnej indywidualności własnej.

Czy osiągnąć ten ideał jest w stanie istota ludzka, a osiągnąwszy go, czy będzie nareszcie szczęśliwą? Na to pytanie znajdujemy odpowiedź w Ibsenowskim „epilogu,“ w scenicznym dziele, zatytułowanym „Gdy z martwych powstaniami.“

Genialny, tytaniczny Rubek wiedzie ukochaną, duchem mu pokrewną kobietę, Helenę — na szczyt wzgórza Fervaal, na szczyt, gdzie jaśnieje światłość przedziwna życia ludzkiego, jakim być powinno. Pną się pod górę, porzucając w dolinie tych, co ani chcieli, ani mogli pokusić się o zdobycie takich wy-

żyn. Pną się... już są prawie u celu... I oto spada na nich lawina; lodowiec śmiałków pochłania. A tam, w dolinie, porzucona żona Rubeka z prostaczym pogromcą niedźwiedzi Ulfheimem szczęśliwa i zachwycona, żyć zaczyna wystarczającą jej życiem, jakim ono jest.

Życie, jakim ono jest, zwyciężyło życie, jakim być powinno. Tak być musi zawsze. Tam, na szczycie wzgórza Fervaal powala zbuntowanych śmiałków potężna, nieubłagana, niezwalczona dłoń *Przeczuczenia*. Zarówno ofiary, jak zbrodnie, nie przydadzą się na nic. Człowiek, przystosowawszy się do przeznaczonego dlań życia — może zaznać pewnych złudzeń szczęścia; nadczołowiek, wspiawszy się po nad przeciętnego życia poziom — zginąć musi. I przeto tak bezdennej pełny melancholii padół nasz...

Oto, jaką kwintesencję filozoficzną daje nam nareszcie Ibsen, sterawszy nas do półśmierci po Kalwaryach swoich, prowadzących lecz nie doprowadzających nigdy na szczyt Fervaalu! Po to, aby nas w końcu taką uraczyć nauką, poik nas przez lat dziesięć ohydą, obrzydzeniem, gorzkim pesymizmem, trującymi wyziewami mętów dusz ludzkich, wstrząsającymi nerwy widowiskami, pobudzającym bezcelowo narkotykiem paradoksów, to znowuż deprymującą, rozpaczliwą, duszną atmosferą ciężkich, powolnych konań. A my, na uwięzi potężnego talentu, wlekliśmy się na nie-szczęsne wzgórze owe, za każdą kolejno Ibsenowską postacią, przykuci do niej oczyma, zahypnotyzowani kunsztem pisarskim złowrogięgo Norwegeczyka. A było ze stromych ścieżek Fervaalu rzucić tylko wzrokiem na widnokrąg hen, tam w dal południową! Tam, po Egejskim morzu pływa od wieków trup Ikara...

Lecz wzrok nasz przykutym był do nowoczesnych tytanów i współdysząc ciężko z nimi, ostatkami tchu szeptał: ci dojdą... ci dojdą!

I — nie doszli.



W kwestyi kobiecej.



II.

Niema wątpliwości, że stanowisko społeczne kobiety na schyłku wieków średnich, jej wpływ niezaprzeczoną na ustrój i ducha rycerstwa, na poezję i sztukę, na rozwój cywilizacyjny Europy, był wynikiem podniesienia kobiety przez chrześcijaństwo i opiekowania się nią przez Kościół. W ścisłym związku z Kościołem, na gruncie wiary rosły jej znaczenie i stanowisko. Z nastaniem epoki Odrodzenia zaznacza się w kwestyi kobiecej zwrot charakterystyczny.

„W miarę, jak ręką uczonych, nieraz pod opieką papieży — mówi p. Rostworowska — odchylało się wieko, pod którym drzemał świat starożytny, ludziom robiło się ciasno w granicach, które chrześcijaństwo ciekawości ich postawiło. Za pięknnością pogańską, za którą

świat gonił i nią się zachwycił, siadła do tej uczty duchowej, jaką było Odrodzenie i dusza pogańska i ponownie jadę swoim sercem zatruta.“ Pomimo zastrzeżeń, jakie możnaby dodać do zbyt surowych i jednostronnych poglądów p. Rostworowskiej, przyznać trzeba, że humaniści zaczęli od ubóstwiania kobiety, jako przedstawicielki piękna w świecie; ona zwłaszcza we Włoszech i Francji poszła za prądem i usunęła się od kościoła, rzuciła się w wir życia i użycia. „Dekameron“ Boccaccia, oto najlepsze odbicie ówczesnego stanowiska kobiety, dla której prócz pochlebstw, niema w humanizmie innego uczucia, niż pogarda dla „niższego“ stworzenia, kult fizycznej piękności i rozkoszy. Od nowelistów włoskich, aż po Rabelais'go i Montaigna wszędzie widoczna jest zaturać czci i szacunku dla kobiety, obyczaje rozluźniły się strasznie, fakty opisane w „Dekameronie“ były regułą, a nie wyjątkiem, i w pół wieku po „Dekameronie“ kobiety pisały już nowelle na wzór Boccaccia.

Rozluźnienie obyczajów dotarło i między kler i w klasztory męskie i żeńskie. Kościół ocknął się za późno do koniecznej naprawy. Luter już rozpoczął swe działanie i trafił na chwilę, gdy ogół społeczeństwa odczuwał już silnie konieczną potrzebę reform, usunięcia nadużyć i zepsucia. Ale Reformacja nie mogła podnieść oburzonego wpływem Odrodzenia stanowiska kobiety. Ona je oburzyła jeszcze bardziej. Zniosła celibat duchowieństwa, nierozzerwalność związków małżeńskich, otworzyła furty klasztorne, odjęła kobiecie wszelki wdzięk, wszelką szlachetność. Luter — listy jego, kazania i pisma dowodem — nie wchodzi w to, czy kobieta ma swe własne pragnienia, potrzeby, dążenia, nadzieje; on nie dowierza, czy w niej jest dusza i sumienie takie, jak męskie; służyć, dogadzać, pilnować domu pana swojego — oto zadanie kobiety; kształcić jej rozum i serce, to zbyt ciężkie i szkodliwe. Jej dosyć mieć czytać Biblię, gotować, słuchać i milczeć. Reformacja zaprzecza kobiecie prawa do pracy samodzielnej. Na rozmaitych polach, w wielu zawodach, gdzie się już zrównała z mężczyzną, odebrano jej to zdobyte stanowisko. Z cechów ją wykluczono, wychodząc z założenia, że kobieta, oprócz do kuchni, do niańczenia dzieci, innych zdolności nie posiada. W Wittemberdze, w jednym tylko 1595-ym roku, ogłoszono kilkadziesiąt tez w obronie zasady, że kobieta nie jest zupełnem, rozumnem stworzeniem.

Tymczasem kościół katolicki sam w sobie rozpoczął dzieło naprawy, ukończone i utrwalone soborem Trydenckim. Nie brakło i wśród kobiet postaci promiennych, które współdziałały w tem odnowieniu moralnem społeczeństwa, a wśród nich na pierwszym miejscu stoi „wyjątkowa postać św. Teresy, która dwa zakony z gruntu odnowiła i na czele ich stanęła, w której pismach nie wiadomo, czy więcej podziwiać głębokość teologiczną, czy prostotę i rodzimy rozsadek, w której listach, nawet do królów, duma kastyjska i cięty dowcip łączą się przedziwnie z zakonną prostotą.“ I wśród kobiet znów się zaczyna wyteżona praca społeczna. Działają jednak tylko jednostki. Angela Merici oddaje swe życie dziełu wychowywania dziewcząt i reformie je-

go. Joanna Chantal oddziaływa potężnie na odnowienie i wzmocnienie wiary. Ludwika Marsillac pod kierunkiem św. Wincentego à Paulo „stwarza to wojsko, co zamiast hełmów w białe kornety przybrane, nie ułęknie się ani zarazy, ani pocisków, ani pogan, ani niedowiarków, na skrzydłach miłosierdzia przebędzie świat, przetrwa rewolucje i przewroty i dotrze do ostatnich znanych krańców świata.“ We wszystkich krajach wznawia się ruch ku moralnemu, intelektualnemu i społecznemu podniesieniu kobiety.

Ale równoległe z tym ruchem rozwija się i rośnie ruch przeciwny, destrukcyjny. Nastają we Francji czasy obu Ludwików, niosące światu demoralizację i zepsucie i jako bezpośredni skutek tych czasów nastaje era filozofów XVIII-go wieku i ich wszechwładnego panowania. Racyonalizm zabija „zabobon i przesady“, czyli po naszymu wiarę i wstyd niewieści. Rej wodzi cyniczny, płytki Voltaire, który w jednym ze swych poematów zbezczeszcza i wyszydza najpiękniejszą w dziejach Francji postać Joanny d'Arc, dziewicy Orleańskiej. O podniesieniu wykształcenia kobiety i jej społecznego stanowiska encyklopedyści ani myślą; Rousseau w sławnym swym dziele pedagogicznym mówi o kształceniu duszy i umysłu mężczyzny, ale ani słowem nie mówi o kształceniu kobiety, jako rozumnej, samoistnej istoty; kobiecie wystarcza jego zdaniem skromny, bardzo skromny zasób nauk i to tylko w tym celu, by ją uczynić ponętniejszą mężczyźnie. Literatura owych czasów staje się bezwstydną i rozwiązłą, odbija w sobie moralny stan społeczeństwa zdeprawowanego do szczytu. Przykład Francji działa zaraźliwie. Upadek obyczajów w całej Europie taki, iż przypomina najgorsze czasy Rzymu. I u nas nie lepiej było.

Komiczne intermezzo w dziejach kobiety stanowi jej udział w rozwijającym się przez cały wiek XVIII-ty wolnomularstwie. Owe smutnej sławy „wielkie mopsice“, jak je urzędowo nazywano, brały czynny udział w tem poniewieraniu godnością kobiecą, nieodłącznym od wszystkich „obrzędów“ i „inicyacji“ nowej sekty.

Pada hasło rewindykacji praw człowieka; nastają czasy wielkiej rewolucji. Ta kobiecie nie nie dała, nie rozszerzyła jej praw cywilnych i nie podniosła jej społecznej sytuacji. Koryfeusz wielkiej rewolucji, Robespierre, Mirabeau, zgodnie głoszą, że to „istota słaba i czuła, której przyroda powierzyła szczytne zadanie przechowania rodzaju ludzkiego“ i przeznaczyła najciaśniejsze działanie przy domowym ognisku. Ale równocześnie tysiące tych „słabych i czułych“ idą pod noż gilotyny... Wchodzi w życie prawo rozwodowe i rozluźnia węzeł rodziny. Godność kobiety upada coraz niżej. „Spojrzyjmy w tył, na rodowody większej części przewodnich rodzin naszych i przyznajmy, jak strasznie się one u schyłku XVIII-go wieku gmatwają: kto był matką, kto ojcem tych a tych? Te panie naprzód tak, później inaczej się nazywają, niektóre po trzy razy zmieniają nazwiska; gdzie rodziny, gdzie domy? Wszystko się zrywa i miesza. To posiew filozoficzny, który i u nas tak bujnie porasta. Zniszczenie rodziny pierwszym jego owocem.“

Zamknięciem klasztorów i wszystkich zakładów miłosierdzia rewolucja francuska odjęła kobietom zakres działania, który dla wielu z nich, nie mówiąc już o innych, wyższych pobudkach i potrzebach, zastępuje rodzinę i życie światowe.

Wszystkie węzły społeczne były rozluźnione, społeczeństwa dochodziły do anarchii, gdy Napoleon żelazną ręką chwycił rządy Francji, a z nią i całej Europy. Powrócił religii i kościołowi wybitne stanowisko, uznając w nim jeden z głównych składników maszyny społecznej. Ale kobiecie swobody i polepszenia jej doli nie przyznał.

Wolność społeczną i obywatelską ograniczył do *minimum*, a mężom nad żonami dał prawo niemal despotyczne. Wierność małżeńska obowiązuje tylko żonę; męża li tylko pod dachem rodzinnym. Wzbronienie poszukiwania ojcowstwa przynosi kobiecie krzywdę ogromną. Mąż jest prawie nieograniczonym panem majątku żony, a zupełnym i absolutnym panem jej dochodów i zarobków. Kobieta nie ma prawa świadczenia w sprawach cywilnych i t. d., i t. d. Te barbarzyńskie pozostałości prawa rzymskiego, przejęte w kodeks Napoleona, obowiązują w większej części po dziś dzień jeszcze we Francji. I uzasadniona jest walka podjęta przeciw nim przez kobiety.

Napoleon nie nie zdziałał dla ułatwienia i podniesienia wykształcenia kobiet. Tyle tylko, że dopuścił, aby rozwiązane przez Rewolucję klasztory i zgromadzenia żeńskie ujęły napowrót w ręce wychowanie kobiet.

Tak stały rzeczy nie tylko we Francji, ale w całej Europie w początkach XIX-go stulecia.

(Dokończenie nastąpi).

Oksyc.

KTO „ON“?

Jestem na ziemi i błędę wśród ludzi...
Wzywam go, szukam, a znaleźć nie mogę;
Dla niego duch mój z letargu się budzi...
O lubi! Wskaż mi swą drogę!...

Znam go, choć nigdy żrenice stęsknione
Żywej postaci jego nie pieściły;
I znam to serce z mojem zespolone...
Gdzie jesteś? Gdzieżeś, o miły!...

Widzę go, słyszę, serca czuję bicie,
Drżę, — to znów płonę za jego zbliżeniem,
W ślad za wyśnionym biedz pragnę w zachwy-
[cie...]

Czem jesteś?... Człowiekiem?... cieniem?

Jeśliś z tej ziemi — czemużeś daleki?...
Czemu daremny ból czynisz tęsknoty,
Sercu mrzeć każesz samotnie, na wieki,
Wskazując szczęścia sen złoty!...

Lecz... jeśliś dla mnie ty marą istnienia,
Widmem lującym w powszednim wszechby-
[cie —]

Lękam się ciebie! Zwiastunie cierpienia,
Z jękiem iść muszę... przez życie.

Elja.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.



«Livia Quintilla.» — Koncerty Mascagniego. — Koncert Żeleńskiego. — Olimpia Boronati. — Nowości muzyczne.

Gdy z nadpeltwiańskiego grodu w r. 1898-ym przedostały się wieści do szpalt pism naszych, o wystawieniu tam opery Zygmunta Noskowskiego p. t. „Livia Quintilla“, oraz o powodzeniu, jakiego doznała, sfery muzyczne warszawskie, a wraz z nimi szeroka publiczność z niecierpliwością oczekiwać zaczęły, rychło-li pierwsza ta opera znakomitego kompozytora naszego ujrzy światło kinkietów na scenie warszawskiej. Wszystko zdawało się zapowiadać, że „Livia“ wnet pojawi się w Warszawie. Tymczasem okoliczności tak się złożyły, że czas mijał, a dzieło Noskowskiego gdzieś ugrzęzło po drodze. Dopiero terazniejsza Dyrekcja zajęła się dziećmi pieśniarza naszego i wystawiła je po upływie czterech z górą lat od narodzin jego. Za to, że pozwoliła nam poznać utwór, zajmujący poczesne miejsce w literaturze naszej muzycznej, jak również za to, że nie szczędziła starań, aby dać mu ramy bogate i okazałe, szczerzy dank się jej należy.

Libretto „Livii“, pióra Ludomira Germana, zaczerpnięte zostało ze znanego jednoaktowego dramaciku Rzętkowskiego i to stanowi kardynalną jego wadę. Ładny dramat Rzętkowskiego nie był w stanie dać dostatecznego materiału do wykrojenia zeń trzyaktowego libretta. Groza końcowej katastrofy, wisząc przez całe trzy akty nad głowami bohaterów, przestaje być grozą. Rozwłokowanie akcji przez tak długi przeciąg czasu wytwarza zbyt jednostajny nastrój, a różne dodatki w formie kilku wtrąconych epizodów bez znaczenia i scen zbiorowych, nie są w stanie wnieść odpowiedniego urozmaïcenia. Jeżeli przytem, dodać do tego absolutny brak drugiej akcji — równoległej, któraby rzecz całą ożywić mogła, dziwić się nie należy, że libretto, aczkolwiek skreślone językiem pięknym, i dobrze nadające się do ilustracji muzycznej, nie interesuje słuchacza dostatecznie. Wadę tę libretta okupuje jednak sówicie muzyka Noskowskiego, w której na każdym oniemałym kroku wy-czuć można przejawy liryzmu głębokiego, fantazyj lotnej, temperamentu krewkiego, wreszcie nastroju dramatycznego. Najbardziej godnym uwagi jest prawdziwe mistrzostwo autora w wyrażaniu za pomocą dźwięków rysów znamiennych i stanu psychicznego działających postaci. Szlachetna, uczuciowa, a dumna zarazem Livia, ubóstwiający ją Lykon, twardy i niecofający się przed niczem potomek zdobywców, pretor Prokul, mściwy Silva, nawet łagodna niewolnica Selene — każda i każdy mają swój wyraz odrębny, zaznaczony dobitnie bądź w rytmach, bądź w akcentach charakterystycznych, bądź w rysunku melodyjnym, im właściwym. Melodye w „Livii“ — są z wyjątkiem paru ustępów — piękne, często pełne prawdziwego natchnienia, a zawsze szlachetne. Do najbardziej wybitnych ustępów należą: dwa bardzo ładne spiewy Lykona, szczególnie drugi, oparty na podłożu starych tonacji greckich, wszystkie ustępy solowe Livii, duet jej z Prokulem, prześliczne intermezzo (wstęp do ostatniego aktu), stanowiące najcenniejszą perłę partycji, dwuspiew Livii z Lykonem, oraz kołysanka na chór żeński. Wszystkie te momenty i wiele innych wielce są urozmaicone w formie, charakterystyce, rytmach, posiadają wiele oryginalności, a opracowane są nadzwyczaj subtelnie i wykwinnie. Praca kontrapunktyczna, w której, jak wiadomo, Noskowski jest prawdziwym mistrzem, odgrywa w nich rolę wciąż pierwszorzędnego czynnika. Instrumentacja, pełna świetnych pomysłów i efektowna, lśni blaskiem stobarwnej palety i stoi na szczycie postępu wiedzy kompozytorskiej.

Dzieło znakomitego muzyka o nastroju wysoce dramatycznym, wymaga obok warun-

ków wokalnych, bardzo dobrej gry scenicznej. Wszystkie te dane posiadają w wysokim stopniu wykonawcy terazniejsi. P. Kruszelnicka w roli tytułowej jest wymarzoną przedstawicielką prawdziwej patrycyuszki rzymskiej. Godnie sekunduje jej, zarówno pod względem śpiewaczym, jak i aktorskim p. Floryański, jako Lylon. P. Grąbczewski z siłą i energią traktuje partię nieugiętego Prokulusa, p. Didur zaś niewielką rolę Silvy gra znakomitą i śpiewem pełnym wyrazu, wysuwa na pierwszy plan. Do tej czwórki udanie dostraja się w roli Seleny p. Skulska. Chóry i orkiestra pod energiczną batutą p. Podestiego, doskonale wywiązują się z niełatwego zadania. Układ sceniczny, malowniczość group i tańców, reżyseria pomysłowa i staranna, wystawa, dekoracje, kostiumy stylowe (z wyjątkiem może p. Kruszelnickiej) nie do życzenia nie pozostawiają.

Przechodząc następnie do koncertów, zaznaczyć należy, że Filharmonia, jakby pragnąc dać melomanom naszym możność wyczerpania przed zamknięciem sezonu wszystkich rozkoszy artystycznych, pracuje w tym kierunku prawdziwie gorąckowo, w przeciągu bowiem połowy bieżącego miesiąca zaprosiła na trzy występy Mascagni'ego ze słynnym kwartetem solowym włoskim, urządziła koncert kompozytorski Żeleńskiego, oraz zapoznała publiczność naszą z gwiazdą koloraturową, p. Olimpią Boronat (hr. Rzewuską), a w chwili, gdy to piszę, już Grieg i Niekisch pracują naprzemian z orkiestrą nad programami koncertów, jakie za kilka dni odbyć się mają pod ich kierunkiem. Dobrze istotnie zasługuje się nowa instytucja społeczeństwu naszemu!

Przyjazd Mascagni'ego poruszył cały nasz gród. Kto żyw, spieszył ujrzeć szczęśliwca, który w tak krótkim czasie, dzięki jedynej operze swej, nawiasem mówiąc, przepięknej, zyskał sławę, rozgłos wszechświatowy, no... i sporo dóbr doczesnych. Byli wprawdzie i tacy, którzy szli poznać w Mascagni'm znakomitego, jak głosiły wieści, dyrygenta, lecz ci stanowili w porównaniu z osobnikami, pragnącymi odurzyć się i upoić widokiem sławnego człowieka, znaczną mniejszość. Ostatni mogli zostać zadowoleni: rozgłosny kompozytor przedstawił się pod względem powierzchownym nadzwyczaj ujmująco i efektownie — pierwsi jednak doznali pewnego zawodu. Nie znaczy to, aby Pietro Mascagni był dyrygentem nieosobliwym. Przeciwnie, maestro włoski posiada pewne zalety w tym kierunku — jest energiczny, sprężysty, uważny, przytomny, a temperament jego wrzący i zapal płomienny oddziaływały w dużym nawet stopniu na wykonawców. Ale nadzwyczajnością, tyle zapowiadana przez usługną reklamę, stanowczo nie jest. Wiele pozy i maniery w sposobie dyrygowania, prowadzenie orkiestry często ze zbyt wielką hucznością, bez oglądania się na styl, nastrój i śpiewaków, oraz brak głębszej subtelności w stosowaniu efektów cieniowania, pozostawiały wiele do życzenia i nie przyczyniały się do wywołania wśród słuchaczy głębszych i trwalszych wrażeń. Wrażenia te pozostawiły za to po sobie popisy kwartetu solowego, przybyłego wraz z Mascagni'm a właściwie trzech osób, wchodzących w skład jego: pań de Frate i Pozzi, oraz p. Marconi'ego, czwarty bowiem uczestnik, basista, p. Brancaloneo, ani materiałem głosowym, ani techniką zbytnio nie zaimponował.

P. Inez de Frate przedstawiła się, jako śpiewaczka pierwszorzędna pod każdym względem. Głos dzwiczny jak złoto, w skali rozległy, wspaniale rozbrzmiewający w olbrzymiej sali Filharmonii, technika skończona tego pięknego organu, artyzm niepospolity w wyrazie — wszystko to budziło prawdziwy entuzjazm. P. Pozzi nieciła znów zachwyty jakością swego mezzosopranu, sięgającego swobodnie nizin kontraltowych, umiejętnością panowania i wielką dozą uczucia. Co się tyczy p. Marconi'ego, znanego już publiczności naszej z występów w operze, to ten śpiewał, jak zawsze, prześlicznie, olśnie-

wając piękną wyjątkową swego tenoru i mistrzostwem sztuki wirtuozowskiej. W ogóle, jak powiedziałem wyżej, popisy tej trójcy dostarczyły melomanom naszym wiele wrażeń podniosłych i w pamięci ich pozostawiają po sobie miłe i trwałe wspomnienie.

Koncert kompozytorski Żeleńskiego dał nam poznać twórczość zasłużonego pieśniarza naszego w szerokim zakresie, złożyły się nań bowiem utwory wszelkiego rodzaju, a więc pieśni na głos jeden, dzieła na chór męzki i mieszany, na orkiestrę, wreszcie cały jeden akt opery p. t. „Janek.“ Niektóre z nich, jak uwertura „Echa leśne“, „Pieśń z wieży“ z opery „Konrad Wallenrod“, kilka pieśni z towarzyszeniem fortepianu i pieśń „Bogarodzica“ w układzie na głosy mieszane, były już wykonywane w Warszawie przedtem, mówić przeto o nich nie będę, a ograniczę się tylko na zdaniu w paru słowach sprawy o bezwzględnych nowościach, a mianowicie: o Psalmie 47 Kochanowskiego na chór męzki i pierwszym akcie „Janka.“ Psalm jest to utwór wzniosły w nastroju, dobrze obliczony na efekty brzmienia i świetnie instrumentowany. W wykonaniu „Lutni“ nowość ta wywarła duże i poważne wrażenie.

Większe atoli wrażenie wywarł „Janek.“ Na całość aktu złożyły się: uwertura, prześliczny chór żeński z pieśnią Bronki, recitativo, chór żeński, dumka Janka, prawdziwa perła natchnienia (śpiewana już kilkakrotnie na koncertach przez Myszugę), dwuspiew Janka z Bronką, śpiew Marka i tercet. Wszystkie te ustępki, pomimo nadzwyczaj słabego wykonania, bez efektów dekoracyjnych i świetlanych, oraz bez akcyi, dla melodyjności swojej, drgającej w nich nuty swojskiej i opracowania pięknego, podobały się bardzo. Wykonaniem większej części programu kierował sam kompozytor, przyjmowany przez licznie zgromadzoną publiczność owacyjnie.

Aby wyczerpać do dna całą działalność Filharmonii, należy wspomnieć o występie na jednym z wieczorów słynnej śpiewaczki koloraturowej, p. Olimpii Boronat. Artystka wstępnym bojem zjednała sobie wielkie powodzenie, gdyż posiada przymioty głosu i uzdolnienia bardzo cenne i odpowiednie do uprawianego przez nią rodzaju sztuki. Głos śpiewaczki, aczkolwiek niewielki i nie zawsze brzmiący z jednakową okragłością dźwięku, jest dzwiczny, metaliczny, bardzo lekki i nadaje się wybornie do wszelkich efektów szybkości w technice wokalnego wirtuozostwa, a wprawa i smak wykwinny czynią popisy te nadzwyczaj zajmującymi. Co się tyczy artyzmu śpiewackiego, to przyznać należy, że p. Boronat nie poprzestaje na błyskotliwości efektów brawurowych, lecz zwraca się z upodobaniem do szerokiego liryzmu. Jej cantilena jest w całym tego słowa znaczeniu poprawna i stylowa. Znakomita śpiewaczka ma wkrótce wystąpić w operze, o czym w swoim czasie zdac sprawę nie omieszkam.

Na zakończenie słów kilka o nowościach muzycznych. Firma Breitkopfa i Härtla wydała, jako suplement do zupełnego wydania dzieł Chopina, trzy dotychczas niedrukowane i nikomu nieznane utwory nieśmiertelnego mistrza naszego. Są niemi: Mazurek a-moll oraz dwa Walce (es-dur i as-dur). Mazurek pojawił się wprawdzie już w druku, jako op. 7 № 2, lecz w zmienionej formie, ze zmienionym dość znacznie rysunkiem melodyjnym i bez charakterystycznego ośmiotaktowego wstępu, naśladowanego dźwięki dudy. Walce zdradzają jeszcze muzyka niedoświadczonego (skomponowane zostały przez Chopina w latach najmłodszych), tkwi jednak w nich przepowiednia genialności. Utwory wyżej wymienione pojawiły się już na półkach księgarzy naszych, a że trudności technicznych nie zawierają żadnych, przeto osoby, nawet średnio uzdolnione, mogą mieć przyjemność zapoznania się z tak drogiemi pamiątkami. — Nakładem firmy Sennewalda wyszły dwa ładne utwory na fortepian „Marzenie o przyszłości“ Wilsona i „Róża jesienna“ Hackh'a, nakładem „Echa Muzycznego“ niezły romans Wan-

delta, w niezwykle wreszcie bogatym w treść marcowym zeszytzie „Melomana“ znajdujemy pieśń Münchheimera p. t. „Na obczyźnie“ na sopran, oraz na fortepian piękną serenadę Stojowskiego i kilka drobniejszych rzeczy ks. Lubomirskiego, Moreta i A. Streleckiego.

St. Dziadulewicz.



Z TWÓRCZEJ NIWY.



Zygmunt Różycki: „Tęsknota.“ Warszawa, 1902, Jan Fiszer, str. 64. — „Miłość i życie kobiety“, Adal. Chamisso, przekład Władysława Nawrockiego, Warszawa, 1902, z dziewięcioma ilustracjami Thumana.

Pierwsza książka, jak pierwsze dziecko, przychodzi na świat w bólach, w obawie, w niepewności, a jednak z góry ukochana więcej od wszystkich innych, od wszystkich następnych.

Pierwsza książka, to sama w sobie, najpiękniejsza może zwrotka w poemacie autorskiego życia, a zwłaszcza życia poety!... biorę taką książkę zawsze do ręki z pewnem wzruszeniem i współczuciem, mam do niej z góry sympatyę, choćby mi zawód sprawić miała; radbym ją przygarnąć, jak nieśmiałe dziecko, puszczone w świat pomiędzy obcych ludzi, przytulić do łona i szepnąć jej: „Nie bój się!... miej odwagę!...“

A cóż dopiero, jeżeli to pierworodne dziecię talentu, natchnienia lub pracy, dobre, zdrowe, ładne i zajmujące, jeżeli przynosi z sobą zarodek życia i teźyny, jeśli potrafi odezwać się do serca i umysłu, do wyobraźni i uczucia, jeśli ma coś do powiedzenia i przynosi z sobą małą czy większą cząstkę duszy!...

Wtedy chciałoby się ją i upieścić, i ucałować na powitanie.

Taką pierwszą książeczkę, mówiącą wierszem i prozą, wypuścił w świat młody poeta, p. Zygmunt Różycki, którego nazwisko nie jest obcem czytelnikom „Bluszczu;“ spotykały bowiem wdzięczne utwory jego niejednokrotnie na kartach naszego pisma i musiały zapamiętać te śpiewne, płynne, melodyjne zwrotki, które teraz zebrane razem wraz z innemi, drukowanemi po różnych tygodniakach warszawskich, utworzyły całą wiązanekę, niby bukietek pierwiosnków i pod ogólnym tytułem: „Tęsknota“, poszły pomiędzy ludzi.

Młodziutki autor potrafił dobrze i właściwie nazwać swe pieśni, streszczając najgłówniejszą ich cechę i istotę w samym tytule.

Tęsknota i smutek, cicha melancholia tych pół-snów, pół-marzeń, pół-widzeń na jawie, owiewa jego wszystkie poezye i zdaje się być integralną cząstką jego duszy, właściwością jego usposobienia.

Musi sam dobrze wiedzieć o tem, bo w jednym z najlepszych swych wierszy, w ten sposób opiewa „Trzy postacie“, które mu nierozłącznie towarzyszą:

„U mego łóża wiecznie stoją w miesięcznych blasków majestacie, wyoladłe, ciche i ponure trzy mary, duchy, trzy postacie.

„Pierwsza tak rzewna i tak smutna, pieści

rozwiązanych snów zawilść, skrwawioną pierś mi pokazuje — ach! to zdeptana moja miłość!

„Druga powiewna, cicha, senna, w swe sieci serce moje mota, wiedzie mą duszę w dal bez krańca — to tylko moich snów tęsknota!

„A trzecia postać z harfą stoi i w srebrne struny ręką trąca, i śpiewa pieśni mi tak łzawe — ach! bo to żalu postać drżąca!

„Gdziekolwiek pójdę — one idą i wspomnień dzwonią mi łańcuchem; za moim sercem, myślą wieją i za mym smutnym płyną duchem!...“

Przychodzą na świat dzieci blade, z czarnymi oczyma smutnymi, bez uśmiechów na ustach, z mgłą, zadumy i rozmarzenia na czołach; niczego jeszcze nie doświadczyły, nie doznały żadnego bólu i męczarni, nie jeszcze z cierni życia i piołunów jego, nie zerwały, a już im serce smutek tłoczy i ciągną łzą zachodzą im oczy. Dusza poety przyszła na świat, jak takie smutne, ciche, łagodne, ale łzawe dziecko, które sumuje, tęskni, żali się i na uboczu trzyma; nie nęci jej radość i uciecha, nie pociąga wesołość i gwar, woli samotność i ciszę, jesienne zmierzchy, niż majowe poranki, blade róże i lilie wodne, niż jaskrawe, aromatyczne kwiaty...

Co z nią robić, — taka już natura!

Tylko, że w tym smutku, tęsknocie i melancholii p. Różyckiego jest jakiś ton łagodny, spokojny, jakaś słodycz i dobroć, bez zgrzytów i goryczy, bez rozpaczliwych krzyków i grymasów, bez szarpania się, kłatw, wyrzekań i złorzeczeń całemu światu za to, że na nim słońce świeci i ludzie się śmieją.

Mówi o sobie:

„Idę półsenny, zamyślony w jakiś bezmierny przestwór złoty, na sennych dalach biją dzwony, dzwony odwiecznej mej tęsknoty...

„Na okół cisza... mgły srebrzyste opowiadają mi swe baśni, migocą gwiazdy pozłociste coraz to jaśniej... jaśniej... jaśniej...

„W jakieś nieznane mi przestrzenie mknę pełen smutku i boleści, po drodze mnie witają cienie, a księżyc ziemię światłem pieści...

„Dziwnie świetlistą, cichą drogą idę w dal senną, w dal bez końca, ale dlaczego i do kogo??...

„W dali drży gwiazda jaśniejąca...“

Nie idzie zatem w pustkę i ciemność, na bezdroża, bez nadziei, bez ideału i bez celu, ale ma tę swoją smętną, cichą, daleko gdzieś jaśniejącą gwiazdkę, która mu drogę oświeca i to go wyróżnia od rozwichrzonych, zgorzkniałych, pesymistycznie nastrojonych obłąkańców dzisiejszej poezji, idących po omacku w ponurą jakąś noc, z szalonym niekiedy krzykiem i wyciem, wstrząsającym głuchą dołką nich pustkę.

P. Różycki nie ma w sobie usposobienia na dekadenta i secesjonistę naszych czasów, chociaż jest poetą zmierzchów i smutków, chociaż się rozmiłował w jesiennych mgłach i marzeniach, w „pół-snie“, chociaż nawet wiosna, co: „spokojną ziemię, która spi, wskrzeszenia skrzydłem trąca“, idzie dla niego w mrok i tylko „roje skarg i burz zamienia w sen i ciszę.“

To spokojny marzyciel, który woła:

„Błogosławiona bądź melodyo zmierzchów, błogosławiony bądź ty rzewny śpiewie, co płyniesz do mnie z za gór sennych wierzchów,

co płyniesz do mnie w zefirowym wiewie i w mojej duszy usypiasz tak cichy, gdyby róż polnych dzwoniące kielichy.“

Pokutuje w nim jakiś epigon romantyzmu, który lubi noce księżycowe, borów szumy, świat srebrzystą mgieł poświata przysłonięty, tajemnicze szmery przyrody, dalekie, smętne echa fujarek, w które zaśluchany, czuje, jak: „w jego duszy komnaty świetliste, wbiegły dwie gwiazdki senne, pozłociste...“

I wtedy przymyka oczy i marzy.

„Zaczarowane jakieś śni ogrody, co wiszą w cichem, grobowem milczeniu... Królowa dziwnej, nieziemskiej urody w rozkwitających drzew się skryła cieniu; czasem ją zefir tylko zlekka musnie. Modre zamknęła oczy... zaraz usnie...“

Te echa senne i widzenia wymarzone bierze w siebie i przerabia je na pieśni, nucone częściej półgłosem, *pianissimo, dolce e sforzando*, aniżeli z pełnej piersi i to ma jakiś swój własny, odrębny urok.

Niekiedy zasypia głębiej i wtedy zdaje mu się, że wpada w „Szał twórczy“, że wzywa wichry, pioruny i skalne ogrody: „Do mnie!... będziemy szaleć, łamać!... dzisiaj świat ten zburzę!...“ czuje wtedy w sobie moc Tytana, z duszą tak burzliwą, że samo jej tchnienie łamie drzewa, szarpie niebo i nad smutną, szarą ziemią czarne chmury zwiewa.

Ale to tylko sen, to złudzenie, to nieprawda; poeta, zrywający nenufary i bluszcze, nie miałby siły obalać pni i kruszyć skał, choć mu do tego chwilami chętka przychodzi, jak gdyby wstydił się wobec świata swej marzycielskiej słabości i pragnął otrząsnąć się z niej, bo wie, że geniuszem jest tylko ten, przez którego słowa przemawia Niebo, przemawia Jehowa i „którego władza jest tak potężna, iż się świat odradza!...“

Zdaje mu się, że poezja, że świat musi tylko przez samych geniuszów być zaludniony i że śpiewać wolno tylko przy dźwięku stalowych strun, na spiżowej jedynie uwiązanych lutni. Przesąd!... Nie same orły latają do słońca! — i skowronkom to wolno.

Niech pana Różyckiego to nie upokarza i nie gnębi, że nie urodził się orłem i niechaj dalej śpiewa tak szczerze i z głębi serca, jak w pierwszych swoich pieśniach; życie doda mu jeszcze silniejszego stroju i wyrobi w nim dźwięki pełniejsze, tymczasem niechaj czerpie z tej samej krynicy, którą w duszy swojej na świat przyniósł, bo urodził się prawdziwym poetą, a to przecie rzecz najglówniejsza.

Ma młodość i talent, dwa drogocenne skarby, których mu zmarnować nie wolno, a których nie w życiu nie zastąpi; wszakże sam śpiewa:

„Co warta jest młodość bez czaru i drgnień, bez uczuć namiętnych, serc bicia, bez wizji promiennych, rozkosznych pół-snień, bez blasku — bez ognia — bez życia?

„Cóż warta jest młodość bez wichrów i burz, bez piosnek uroczych i śpiewnych, bez woni cudownych fiołków i róż, bez trenów i smętnych, i rzewnych?

„Cóż warta jest młodość bez wspomnień i snów, bez gwiazdy nadziei tej złotej, bez słodkich poszeptów i drżących pół-słów, bez żalu i cichej tęsknoty?

„Cóż warta jest młodość bez siły i prób, bez wzniosłych porywów serc, ducha, — *coż* warta, gdy w zimny zakopią ją grób, — *coż* warta, gdy cisza w niej głucha?...“

Ma słuszość; rozumie dobrze znaczenie młodości, więc niechże z niej korzysta i niechaj jej strzeże. Urodził się lirycznym, pieśni jego mają śpiewny, serdeczny ton, — witamy go zatem, jako wchodzącego na arenę pieśniarza oklaskiem i życzeniem, aby nigdy „nie zniżał lotu“ swoich natchnień i nie obniżał stroju swojej lutni.

Małą, miłą, wytworną, ozdobnie drukowaną książeczkę, nakładem warszawskiej firmy W. Musielewicza, wydał p. Władysław Nawrocki, jeden z naszych najzdolniejszych tłumaczy z obcych języków.

„Miłość i życie kobiety“ (*Frauenliebe und Leben*) Adalberta von Chamisso, a właściwie Ludwika Karola de Boncourt, niemieckiego poety i przyrodnika w jednej osobie z przed laty stu blisko, spolszczył p. Nawrocki w poprawnych i gładkich zwrotkach, z właściwą sobie kunsztownością formy a zachowaniem ducha oryginału.

Robert Schumann skomponował do cyklu tych pieśni muzykę i rozślawił je po świecie.

Staranne pod względem typograficznym wydanie ozdobiono dziewięcioma udatnymi rycinami według rysunków F. P. Thumanna, znakomitego przed kilkadziesiąt laty ilustratora i profesora drezdeńskiej i berlińskiej Akademii sztuk pięknych.

Chamisso w cyklu pieśni opiewa miłość i życie kobiety, od uroczej wiosny panieństwa do późnej jesieni i wyraża uczucia jej, jako kochanki, narzeczonej, mężatki, matki, wdowy i pochylonej wiekiem babuni.

Książeczka powinna znaleźć miejsce w bibliotekach naszych pań, zajmujących się poezją.

M. G.



Przykład samodzielności kobiecej z r. 1399.



Jak odległych czasów sięga walka kobiet o samodzielność, jak dawno już temu umiały własną pracą byt sobie zapewniać, dowodzi historyczny przykład, świeżo podany w piśmie, wychodzącym w Wiedniu, pod tytułem „Dokumente der Frauen.“

Otóż przed 500 laty, Krystyna de Pisan, córka znakomitego lekarza i astrologa, Tommasza Pisano, występuje na publicznej widowni jako pierwsza zawodowa literatka, zawodowa, albowiem piórem zapewniała sobie i dzieciom swym utrzymanie.

Urodzona w r. 1363 w Wenecji, w dziecięcych latach przesiedloną została do Paryża i tam, na dworze, w piętnastym roku życia poślubiła młodego szlachcica, Estienne du Castel, którego szczerze kochała i opłakiwała głęboko, owdowiawszy w niespełna lat dzieśnięć po zamążpójściu. Opiewała go w gorąco odczuty pieśniach, wyróżniających się szczerością uczucia i prostotą od poezji współczesnych. Oprócz pieśni i ballad napisała kilka

allegorycznych i politycznych poematów — oraz hymn na cześć Joanny d'Arc.

Największą popularność zdobyła przez słiczny wiersz, zatytułowany: „Epistola boga miłości.“ W wierszu tym surowo karci sławny romans swego czasu, „Romans róży“, odzierający kobietę z cnót i z czci i bez osłony mówiący o luźnych obyczajach. Obronę kobiet w dowcipny i poetyczny sposób ubiera w odezwę boga miłości, do którego dochodzą skargi pokrzywdzonych, obrażonych kobiet i który osłania je swą opieką i broni nadal od niesprawiedliwych pocisków.

„Epistola boga miłości“ wywołała niemałą reakcję w ogólnej literaturze ówczesnej, — pobudziła ludzi pióra do ostrych, ożywionych polemik i jeszcze w XVI stuleciu była w nowym wydaniu drukowana.

Krystyna de Pisan wiodła życie niezmiernie surowe i świątobliwe, wielką przywiązując wagę do swej dobrej opinii.

Współczesna miniatura przedstawia ją siedzącą przed otwartą księgą i nauczającą obok niej stojącego syna, wysmukłego, pięknego młodzieńca.

Malarz starał się uwiecznić na portrecie to, co mu się w uczonej kobiecie najcharakterystyczniejszym wydało i najbardziej godnem uwagi. Nie dziw, że godną uwagi wydała mu się matka, będąca przewodniczką dorastającego syna, albowiem i za naszych czasów najwyższemu uznaniem obdarzamy kobietę — matkę, umiejacą dobrze pokierować dziećmi, zwłaszcza zaś synami.

Z. S.

Historia kapelusza damskiego.

I kapelusz damski ma swoją historię.

Że ma wielkie znaczenie, o tem wie każdy. Przysłowie francuskie mówi: „*Le chapeau c'est la femme...*“ Wprawdzie przysłowie to najbardziej popłaca w Paryżu, gdzie zwyczaj każe, aby każda dama, należąca „do świata“, miała w sezonie przynajmniej cztery nowe kapelusze. A kapelusz paryski, najnowszej mody „*chapeau habille*“ kosztuje bagatelę: około 120 franków. Biedni mieszkańcy Paryżanek!

Ale wróćmy do historii kapelusza.

Kiedyś, ongi, od początku świata, kobiety przez długie lata nie nosiły żadnego nakrycia głowy, później zaczęły używać kapelusza tylko dla ochrony przed słońcem. Kapelusz ten nie odznaczał się elegancją — był to poprostu daszek słomiany. Greczynki i Rzymianki przykrywały głowę zawojem, z pod którego umiały rzucać równie zabójcze spojrzenia, jak nasze panie z pod swych „schawców“, dążąc do teatru lub Filharmonii. Zamiast kapeluszy Rzymianki i Greczynki nosiły wspaniałe fryzury, zdobne w kwiaty i drogie kamienie, a nawet używały... włosów fałszywych, co się i w naszych czasach zdarza. Japonki dotąd nie noszą kapeluszy, zadawałając się wysokim uczesaniem, do którego spotrzebowują zadziwiająco ilość szpilek i ozdób.

Na hanbę płci brzydkiej, trzeba przyznać, że pierwszy strojny kapelusz zdobył głowę... mężczyzny. Średniowieczny kapelusz męzki, z drogiej materyi, ozdobiony piórami i drogiemi kamieniami — jest prawozorem obecnego kapelusza damskiego. Rycerze to pierwsi poczęli zdobić głowy kapeluszymi, zdobnemi w pióra i hafty wtedy już, gdy piękne kasztelanki tylko dla

ochrony przed zimnem przykrywały główki czepeczkami.

Z kombinacji tych czepeczków z kapeluszymi męzkimi, po wielu zmianach, przeróbkach, rewolucjach, sprowadzonych przez „renaissance“ i mody XVIII-go wieku, powstał współczesny kapelusz damski.

Współczesny kapelusz damski! To rzecz, którą opisać bardzo trudno, tem bardziej, że więcej jeszcze od samego kapelusza, zależy na umiejętności noszenia kapelusza. Tak samo, jak od ładnej twarzy więcej znaczy piękny uśmiech, a od ładnej figury — zgrabne ruchy.

Kapelusz damski — to szczyt kobiecej elegancji i smaku. Jednej twarzyczce dodaje pięknego zakończenia, lub stanowi powabną ramkę, u innej — krzyczy rozmiarami, barwami, „oryginalnością.“

Do paryskich specjalnych magazynów kapeluszy ciągną przed sezonem całe zastępy modniarek i właścicieli magazynów damskich na przegląd toalet i nowych modeli kapeluszy. Podobno za model kapelusza każą sobie czasami płacić po 1,000 franków, bo też „autorowie“ lub „autorki“ uważają je za dzieło sztuki. „Tę agrafkę przypięłam po czterech dniach namysłu. To pióro dodałam w chwili natchnienia! To nie kapelusz — to arcydzieło sztuki, smaku i natchnienia!“

Mężczyzna, czy nosi miękki kapelusz fantazyjny, czy twardy „melonik“, czy lśniący cylinder, nie pojmie uczuć kobiety, wychodzącej na ulicę w nowym kapeluszu, jakiego „żadna“ nie ma, a na który każda się obejrzy,

A jednak, szczególna rzecz, że ani męzki, ani damski kapelusz nie jest prawdziwie ładny. Dlaczego?...

m.

Kronika działalności kobiecej.

— Bardzo ciekawe sprawozdanie pomieszcza pismo Belgijskie „*Les Cahiers Féministes*“ o tak zwanych „*Écoles d'adultes* (dorosłych) pour femmes“ w Belgii. W jednej np. z owych szkół, trzy razy tygodniowo, w godzinach wieczornych, od 8-ej do 11-ej, zgromadzają się kobiety w liczbie najmniej stu, najrozmaitszych zawodów i wieku, począwszy od 14-o — 16-o letnich dziewczątek, skończywszy na zgrzybiałych 70-o letnich staruszkach. Uczą się tam: szwaczki, modniarki, praczki, rysowniczkę, kwiaciarki, hafciarki, koronczarki i t. p. Nie brak pomiędzy nimi męzatek i matek licznych rodzin. Wiele z nich, zależnie od pory roku, pracuje od 6-ej, 7-ej rano do 7-ej, 8-ej wieczorem i mimo to znajdując energię i ochotę, żeby wieczór poświęcić nauce bądź to poprawniejszego pisania, bądź innemu dopełnieniu zakresu skromnych wiadomości. Wykłady w szkole obejmują: czytanie, pisanie, naukę ortografii, rachunki, domowe gospodarstwo, higienę, roboty ręczne, (przedewszystkiem cerowanie i sporządzanie bielizny), buchalterię, ogólny zarys historii i geografii. Ta ostatnia najmniej wzbudza zajęcia. Szkoła podzieloną jest na 3 oddziały czyli klasy. Każda nauczycielka zajmuje się mniej więcej 15-ma uczennicami. Nauczycielkom należy się też słowo gorącego uznania, zważywszy, iż każda z nich pracuje, mozołi się nad nauczaniem przez dzień cały, poprawiać musi zadania i siebie przygotować. Wielką trudność przedstawia wybór książek do czytania z powodu ogromnej często różnicy wieku pomiędzy uczennicami. Każda uczennica wnosi tygodniowo 25 centymów do wspólnej kasy, która pozostaje pod zawiadywaniem wszystkich uczennic i którą po 2-ach latach pomiędzy siebie rozdzielają.

— Z inicjatywy Stowarzyszenia kobiet po-

żytecznej pracy zorganizowaną została w Chur, obok ogrodu botanicznego „*Plantahof*“ przy Landquart (Szwajcarya), szkoła ogrodnictwa dla kobiet, obejmująca specjalnie hodowlę owoców i warzywa. Kurs trwa 3 miesiące, od 20-go kwietnia do 20-go lipca. Opłata pensyonarki wynosi 1½ fr. dziennie. Uczennice niezamożne otrzymują stypendya lub znaczne ulgi. Za wykłady profesorowie nie pobierają od uczennic żadnej opłaty. Kurs nauk nowej tej a pożytecznej szkoły zostaje pod przewodnictwem dyrekcji „*Plantahofu*“ i pod dozorem Stowarzyszenia. Bliższych objaśnień udziela panna Wassali, przełożona szkoły dla dziewcząt w Chur.

— Kobiety tak przyzwyczyły się do wspólnych studyów z kolegami męzkimi, że *Woman's medical school* (medyczna szkoła dla kobiet) w Chicago, otworzona przed piętnastoma laty, z powodu braku uczennic, została zamknięta. Kobiety-lekarki utrzymują, że chcą poważnie poświęcić się temu powołaniu, trzeba przebyć kursa i praktykę wspólną ze studentami, ponieważ tylko w uniwersytetach zwykłych, t. j. męzkich, osiągnąć można pewność zdobytej wiedzy.

— Ogólne zgromadzenie związku Stowarzyszeń kobiecych w Niemczech odbędzie się w pierwszych dniach października r. b. w Wiesbaden. Związek obejmuje 139 Stowarzyszeń, liczących razem 71,000 członkiń.

— W ciągu ostatnich paru dziesiątków lat liczba zarobkujących kobiet we Francji (prócz służących) wzrosła ogromnie. W roku 1886 wynosiła 4,640,000, w r. 1896 doszła do 6,400,000. Najliczebniej występują kobiety zarobkujące w przemyśle tkackim; drugie miejsce zajmuje przemysł spożywczy. Na drodze handlowej, w ciągu wyżej wykazanego czasu, wzrost i liczba pracowników przedstawia się jeszcze dodatniej. W bankach i rozmaitych biurach w r. 1886 było zajętych kobiet 15,000, w r. 1896 — 170,000. Od r. 1896 do obecnej chwili ruch na polu pracy kobiecej zwiększył się jeszcze znacznie.

Z. S.

— Na ostatniem posiedzeniu Kassy kobiet pod przewodnictwem p. Kryżowej, postanowiono: zaprosić na członka-protektorkę p. Annę z Reczynskich Gellową. — Przyjęto deklarację i zaproszono na stałego lekarza Kassy p. Romualda Świerczewskiego, lekarza-dentystę. — Udzielono pożyczki 15 rubli jednej uczestniczce Kasy, — udzielono pięciu osobom kwity na poradę lekarską. — Zatwierdzono rachunki poniesionych wydatków.

Firma D. Fleiszer złożyła za pośrednictwem p. Maryi Małkowskiej rub. 50, przeznaczając ten fundusz na pięćdziesiąt książeczek oszczędnościowych wylącnie dla kwiaciarek.

Sekretarka *Marya Małkowska*.

Treść numeru:

Na werendzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Przysiań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu „*So-bieski pod Wiedniem*“), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: VII. Nora — Helena Alving, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy). — W kwestyi kobiecej, przez Okszyca (ciąg dalszy). — Kto „on?“ (wiersz), przez Elle. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Z twórczej niwy, przez M. G. — Przykład samodzielności kobiecej z roku 1399-go, przez Z. S. — Historia kapelusza damskiego, przez m. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Z Kassy kobiet. — Ogłoszenia.

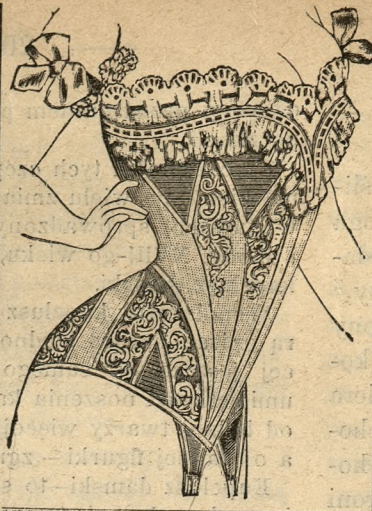
Do dzisiejszego numeru dołącza się dokończenie obrazka z życia robotników w cukrowni M. K. Szimaczka p. tyt.: „*Karzelek*“ i początek opowiadania Winklera „*W katedrze Bogarodziecy*.“

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 21). — Przepisy gospodarskie.

Główny Skład ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

Krakowskie-Przedmieście № 55 w Warszawie.

otrzymał na sezon wiosenny i letni:
Plócienna. — Kretony. — Batysty. — Satynki. — Dryliski
na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.
poleca również: **Gotową bieliznę damską i męską. — Pończochy. —**
Skarpetki. — Płótna. — Stołową Bieliznę. — Ręczniki. — Chustki.
Dywany. — Firanki. — Portjery.
GOTOWE WYPRAWY od 100 Rubli.



FRANÇOISE ANNETE

Niecała Nr. 5 — I-sze piętro.

POLECA:

Gorsety najnowszych fasonów
paryskich secesyjnych.

Specjalny krój dla ułomnych.

6-cio klasowy zakład naukowy żeński

S. TOŁWIŃSKIEJ

z dniem 1-ym Lipca 1902 r.
przeniesiony zostaje z ulicy

Chmielnej 48, róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy

ulicy Ś-ej BARBARY Nr. 4.

Egzaminy przedwakacyjne dla nowostępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.

MAGAZYN MÓD

E. Loth

Saski Plac 5.

poleca w dużym wyborze

KAPELUSZE WIOSENNE

Ceny umiarkowane.

C. LESKI

Marszałkowska № 143, — I-sze piętro front.

ZAKŁAD KARBOWANIA
I PLISOWANIA FALBAN, SUKIEN
I KORONEK.

Karbowania fantazyjne, najnowszych deseni.
Plisowania przeszło łokieć szerokie. Wycinanie
przeróżnych ząbków maszyną. Wykonanie
staranne i skore.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych
do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.

W. Golińska

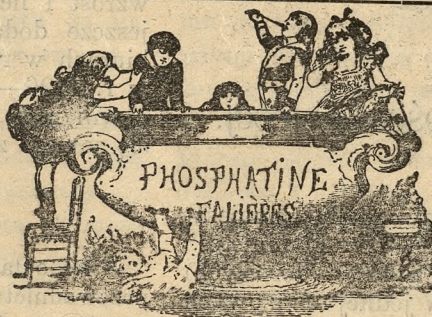
Gmach Teatralny
poleca

Nowości w zakresie galanterii

BRONZY, ALBUMY,

NESESERY,

WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.



FOSFATYNA

FALIERA.

Przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy
dla dzieci w wieku od 6-ciu miesięcy do 10
lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi
i w okresie rośnięcia.

Sprzedaż w Składach Aptecznych i Aptekach.

FUTRA

na letnie przechowanie

Przyjmuje i za-
biera własną ka-
retką bez dopłaty.

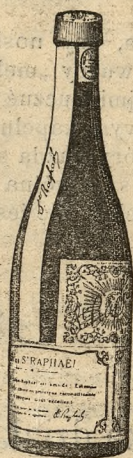
KUŚNIERZ

JAN RUDZIŃSKI

Marszałkowska 117.

Vin de Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzma-
niające i pomagające trawieniu.



Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako
o pożywnym, wzmacnia-
jącym i leczniczym środ-
ku, wysyła się na ża-
danie.



Smak jego jest wysmienity.

Compagnie du Vin de
Saint Raphaël

FALANCE, DROME,
FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

CIECHOCINEK

PENSYONAT „ZACHĘTA”
HELENY KUCZAŃSKIEJ

przyjmuje pod opiekę na czas kuracyjny
dzieci i młodzież obu płci. Kuchnia zdrowa
i obfita. Pianino, gimnastyka, masaży, gry
rozmaite ua miejscu. Szczegóły za nadesła-
niem marki. — Warszawa, Moniuszki № 9,
od 15 Maja — Ciechocinek.

Załatwiam pogrzeby od rbl. 25

do najwykwintniejszych. Trumny metalowe
od rbl. 30, drewniane od rbl. 12 i dębowe.
Więńce metalowe od kop. 75. Makarta za-
suszona od k. 60 Szarfy. Pochodnie. Paki
smołowane do przewożenia ciał.

Krepy czysto jedwabne (angielskie) w wiel-
kim wyborze od 70 kop. za łokieć. Odświe-
żam krepe.

100 kapeluszy z woalami od rbl. 4. Suknie
od rbl. 15. Spódnice z krepe od rbl. 7
kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26,

(wprost kościoła św. Antoniego).

Mieszkam w tymże domu.

Powyższy towar wysyłam za zaliczeniem.

SKŁAD

PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY MARJI BOJDAKOWSKIEJ

Warszawa, Chmielna № 21.

Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfu-
merji fabryk krajowych i zagranicznych.

M. SZAFRAŃSKA

powróciła z Paryża i poleca piękne mo-
dele kapeluszy.

Niecała № 1.

Album Sztuki Polskiej Cena w oprawie
Rb. 12.

Skład wyrobów gumowych,
Cerat i Środków opatrun-
kowych i Nowości.

G. EHLERT

Warszawa, Senatorska № 19.

I-sze piętro.

Poleca: Wszelkie przyrządy chirurgiczne, Płótna gumowe pod cho-
rych, Termometry, Barometry, Ceraty i Serwety na stoły, Szco-
tecзки do zębów, Grzebienie. Rakiety i piłki do Lawn-
Tennisu. Oddział Fonografów czysto oddających muzykę, śpiew
i deklamację.

OBSEUGA ŻEŃSKA DLA PAŃ.

Patentowany angielski PLATINUM ANTI-GORSET,

premijowany na wszystkich hygienicznych wystawach Europy.

GLÓWNE JEGO ZALETY SĄ:

- Że nie posiada brykli i boocznych stalek, gdyż Platynowe zapięcie nowej konstrukcji w zupełności takowe zastępuje bez prucia i szycia;
- może być każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, gdyż Platinki mogą być momentalnie wyjęte i wstawiane;
- Platinki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją, nie łamią się nigdy i dla tego każda dama może swobodnie takowy przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm;
- Materiał gorsetu jest mocny, kolor trwały, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości;
- Przez swój dobry fason i odpowiedni krój gorset nasz daje się do każdej figury zastosować;
- Osoby brzemiennie mogą dowoli gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiące zaś, nie rozpinając — karmić;
- Ażeby zaznaczyć jaknajwiększy ogół z naszym udoskonalonym Platinum Anti-Gorsetem, naznaczyliśmy na takowy możliwie niskie ceny, a mianowicie: L. rub. 4.85, L. W. z walansjenką rub. 5.35. Cze-Czu-Cza rub. 5.50. C. C. z walansjenką rub. 5.95, Kanwoy 6.50, Batystowy 6.50, Tiulowy Ażur z walansjenką rub. 7. Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej;
- Anti-Gorset wysyła się na żądanie za zaliczeniem pocztowym z doliczeniem 50 kop. na przesyłkę i opakowanie, przy obstalunku zaś 3-ch sztuk, wysyłka uskutecznia się franco.

Do obstalunku należy doliczyć szerokość jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach, talji i biodrach, mierząc one połowę na stole werszkami, centymetrem, i lub tasiemką, albo też donieść numer no-
szonego gorsetu.

Panie gorsetów nie używające, zechcą przysłać, mierząc wokół pod pachami: 1) pełny obwód w piersiach, 2) pełny obwód talji, 3) długość boku (od pachy) do talji. Gorsety wysłane pocztą zamieniamy, wy-
syłając je na swój koszt, jeżeli okażą się nieodpowiedniami.

Wyłączna sprzedaż na całe Cesarstwo i gub. Królestwa Polskiego w fabrycznym składzie „HYGIENA”
w Warszawie, Bielańska № 18.

Adres dla listów: „Hygiena”, Warszawa. Patent 10-letni na całe Cesarstwo za № 1324.

